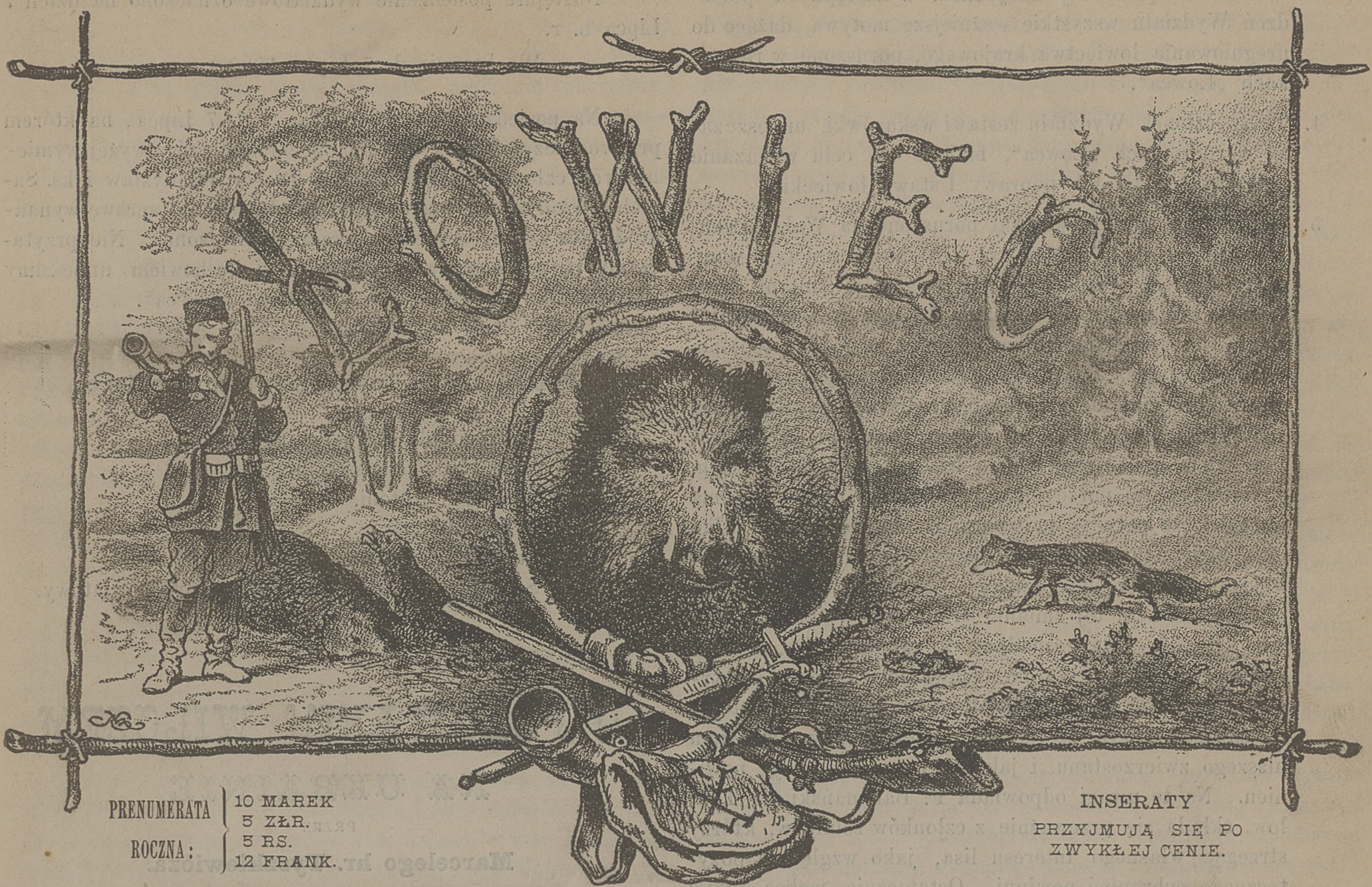
Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

PROTOKÓŁ
posiedzenia Wydziału Tow. łow.
z dnia 4 Lipca 1880 roku.

Przewodniczący JExc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki.

Obecni: Dr. Michał Gnoiński wiceprezes Tow. łow.

Członkowie: Bartmański Oswald, Dr. Kratter Ferdynand, Łoziński Józef, Dr. Roiński Emmanuel, Zontak Władysław.

Przed rozpoczęciem obrad wręczył b. wiceprezes Tow. łow. p. Oswald Bartmański w imieniu Wydziału Prezesowi w upominku Rocznik pierwszy „Łowca", ozdobnie oprawiony, z własnoręcznymi podpisami wielu członków Tow. łow.

Przewodniczący zagaja posiedzenie dziękując za miły mu upominek i za wybór, oraz oświadcza, że chętnie radby kierować Towarzystwem, które tak świetnie się rozwinęło, ale liczne inne zajęcia powstrzymują go od przyjęcia obowiązku, któregoby może z powodu tych zajęć należycie spełnić nie mógł. Nadmienia, iż jakkolwiek wielce sobie ceni wybór na prezesa Tow. na Wal. Zgrom. d. 23 Lutego b. r. dokonany, to jednak liczba 26 członków obecnych na niem zdaje mu się zbyt małą w stosunku do ogólnej liczby 500 członków. Ponieważ inne sprawy będą zapewne wymagać decyzyi Walnego Zgromadzenia, wnosi więc rychłe zwołanie w znacznie większej liczbie tegoż Zgromadzenia, które o jego wyborze ostateczne wyrzeknie słowo. PP. Bartmański, Gnoiński i Kratter upraszają prezesa, aby bez restrykcyi przyjął tę godność, którą mu zgromadzeni wyborcy jednogłośnie ofiarowali, twierdząc przytem, iż tylko pod jego skrzydłami opiekuńczemi ta pożyteczna instytucya rozwinąć się zdoła, że gdyby nawet wszyscy członkowie Tow. łow. na Wal. Zgromadzeniu zebrać się mogli, to zatwierdziliby niezawodnie jednomyślnie ów wybór.

Na propozycyę przewodniczącego uchwalono zwołać Wal. Zgromadzenie d. 5 Października b. r.

Na wniosek przewodniczącego wyraża Wydział uznanie Redakcyi „Łowca".

Przedmioty obrad i uchwały:

1. P. Łoziński będzie prowadził protokół czynności Wydziału. Protokoły będą wpisywane w osobnej księdze.
2. Stan majątkowy Tow. łow. można nazwać pomyślnym, księga rachunkowa porządnie przez Sekretarza prowadzona, wykazuje pozostałość kasową w sumie 1674 złr. Zawiadywanie funduszami wymaga ścisłej kontroli, w tym celu oddaje Wydział referat rachunkowy Drowi F. Kratterowi.

3. P. Łoziński przedłoży na jednem z następnych posiedzeń Wydziału wszystkie ważniejsze motywa, dążące do uregulowania łowiectwa krajowego, poruszone w rocznikach „Łowca“.
4. Tenże członek Wydziału zestawi wskazówki, umieszczane w rocznikach „Łowca“, mające na celu wykazanie potrzeby rewizyi lub poprawy Ustawy łowieckiej.
5. Wzięto pod obrady wnioski poruszone na Wal. Zgrom. Tow. łow. z d. 23 Lutego b. r. Wniosek umotywowany wniesienia do Sejmu petycyi względem zmiany §. 2. Ustawy krajowej z 30 Stycznia 1875 r. w tym kierunku, iż lisy wszędzie i o każdej porze mogą być tępione, wywołał dłuższą dyskussyę. Przewodniczący jest przeciwnym tej zmianie twierdząc, że Ustawa bezwzględnego tępienia lisa nie będzie wykonywaną, bo już to jest zwyczajem u nas szanowania lisa w letnich miesiącach, ponieważ w tej porze futro jego żadnej prawie nie ma wartości; że petycya ta wniesiona do Sejmu nie tylko nie będzie uchwaloną, ale nawet prawdopodobnie nie wejdzie na porządek dzienny. P. Bartmański również jest przeciwnym tej zmianie uważając wytępienie lisa jako szkodliwe dla gospodarstwa rolnego Dr. Kratter nadmienia, że Wal. Zgrom. uchwaliło wnieść ową petycyę wychodząc ze stanowiska ściśle łowieckiego, a nie da się zaprzeczyć, że lis jest nader groźnym wrogiem niższego zwierzostanu, i jako taki tępionym być powinien. Na te uwagi odpowiada P. Bartmański, iż Tow. łow. składa się przeważnie z członków rolników, którzy strzegąc własnego interesu lisa, jako względnie pożytecznego ochraniać powinni. Ostatecznie wobec takiej różności zdań, uchwalono przedłożyć ów wniosek powtórnie Waln. Zgromadzeniu tem bardziej. że Wysoki Sejm zapewne już nie długo obradować będzie, i nie mógłby już tę petycyę wziąść pod rozwagę. Polecono również wezwać czytelników „Łowca“ do objawienia swego zdania w tej sprawie. — Sprawę wprowadzenia kart myśliwskich, ponieważ odezwały się głosy silnej i poważnej opozycyi, postanowiono wnieść raz jeszcze pod obrady Waln. Zgromadzenia, obecnie zaś przejść nad nią do porządku dziennego. — Nakoniec wniosek ochraniania słonek na wiosnę odesłano z powodu nieobecności wnioskodawcy i członka Wydziału hr. Edw. Fredry do następnego posiedzenia Wydziałowego.
6. Nie uznano potrzeby wyznaczenia Komisyi upoważnionej do załatwiania w imieniu Wydziału spraw bieżących lub nagłych, i polecono odnosić się z takiemi sprawami do Prezydyum i członków Wydziału obecnych we Lwowie.
7. Wniosek przewodniczącego tworzenia po miastach i miasteczkach składu zwierzyny, głównie w celu poskramiania kłusownictwa jakoteż ułatwienia nabycia tejże zwierzyny, zyskał poparcie wszystkich członków Wydziału. Uchwalono poruszyć tę sprawę na następnem Walnem Zgromadzeniu i w kolumnach „Łowca“.
8. Referat wynadgrodzenia szkody przez zwierzynę zrządzonej, odroczono do następnego posiedzenia. Dr. Roiński, bliżej już z tą sprawą obznajmiony jako członek komitetu Tow. gosp., na którego posiedzeniach ta sprawa obszernie była roztrząsana, przyrzekł udzielić referentowi Drowi Kratterowi pomocy.

Następne posiedzenie wydziałowe oznaczono na dzień 7 Lipca b. r.

We Lwowie d. 7 Lipca 1880 r.

Na posiedzeniu wydziałowem z d. 7 Lipca, na którem przewodniczył Prezes Tow. a obecni byli prócz wyżej wymienionych, członkowie Wydziału p. Rieger Władysław i ks. Sapieha Władysław; wzięto pod obrady jedynie sprawę wynadgrodzenia szkody przez zwierzynę zrządzonej. Nie przytaczamy tu dosyć ożywionej dyskussyi, albowiem umieścimy wkrótce cały ten referat w kolumnach „Łowca“.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Budzynowski Kornel c. k. adjunkt.
Mycielski Franciszek hr.
Romański Antoni.
Rylski Henryk.
Stesłowicz Aleksander.
Szczurowski August c. k. komisarz powiatowy.

O POLOWANIU WILCZEM
NA UKRAINIE

PRZEZ

Marcelego hr. Tyszkiewicza.

Pomimo że Ukraina jest okolicą stepową, mamy bardzo dużo wilków, gnieżdżą się po burzanach, oczeretach, łozach i laskach, chociaż tenże często nie jest większy nad 30 do 50 morgów. Ale lasek taki okopany głębokim i szerokim rowem, a nigdy człowiek ani bydło tam nie wchodzi, gąszcz ogromny i spokój dla zwierzyny zupełny. Polowanie na wilki doprowadzone jest u nas do pewnej perfekcyi, a chociaż z końcem jesieni mało ich pozostanie, to w zimie najdą znowu z Polesia i Litwy, a najwięcej z za Dniepru. Za Dnieprem są nieprzebyte łozy, i tam można śmiało twierdzić są ich mateczniki.

Na Ukrainie znane są dwa gatunki wilków, jedne bywają nazywane *kobylakami*, drugie *swynohryzami*. Kobylak jest wilk stepowy zupełnie odmienny od swynohryza, znacznie wyższy, głowa jego niezbyt szeroka, trąba długa, wąska, ma formy prześlicznego charta polskiego, a tak jest szybkim, że trzeba bardzo rączych chartów, żeby go doszły, szczególnie wilczycę. Widziałem szczutą wilczycę pod Lubczą chartami, które pojedyńczo brały wilka, tak rączymi, że pan B. zakład robił z *psowymi* *) chartami o zająca na pierwszy obrot, a jednak ta wilczyca poszczuta w oczy od razu odsadziła się od nich na jakie sto kroków, i w tej odległości poszła stepem trzy wiorsty aż do oczeretów pod wsią Ostromogiłą. — Wilczyca ta była już od kilku lat znaną, i zawsze jednem i tem samem miejscem uciekała. Widziałem także jadąc z Humania wózkiem w końcu Listopada na zamarzniętej ziemi, jak na Chizniańskim stepie, gdzie sławnie zające uciekają, obracał wilk zająca tak jak najle-

*) *Psowe charty* najrączsze na Ukrainie, gatunek stepowych moskiewskich.

pszy chart, a po kilkunastu obrotach wziął go i to na *kosohorze* *). Swynohryzy są niższe, grube, przodem wyższe, łeb ogromny bardzo szeroki, trąba krótsza i grubsza jak u kobylaka, łapa gruba, stopa okrągła, wejrzenie tchórzliwe, podłe, formą podobny do hyeny, ogon równy, zawsze spuszczony, szerść brunatna, kobylak zaś jest jasno siwy, a siwizna ta wpada prawie aż w biały kolor, a ogon ma nawet trochę zakręcony u końca. Kobylak z namiętnością dusi konie, zapewne więc z tego powodu dano mu takie miano, nie gardzi on też bydłem, świnią i owcą, swynohryz zaś wyrządza szkodę przeważnie w bydle i świniach.

Pragnąc dać wyobrażenie naszego polowania na wilki z gończymi psami i sieciami, opiszę takie polowanie odbyte w Horodku. W r. 1860, jeżeli się nie mylę, wróciwszy do domu z polowania, które wybornie się udało, bo padło 14 wilków, zastałem list od Antoniego R. z Horodka wzywającego mnie na 2 Września do siebie w celu polowania na wilki. Po odczytaniu listu tyle tylko miałem czasu, żeby psy jeszcze wieczorem wysłać, sam zaś wyjechałem nazajutrz bardzo rano. Miałem podówczas rysaki araby, i chociaż sześć naszych mil liczą do Horodka, byłem już o godzinie 10ej na miejscu. Zastałem tam chorążego Sienińskiego, starca mającego blisko sto lat, ale zawsze jednego z pierwszych, gdy szło o polowanie, i Seweryna A. z całem swojem myśliwstwem t. j. z 12 wozami sieci, 24 sworami gończych psów i dwoma dojeżdżaczami na małych, gniadych konikach. Można powiedzieć, że konie i psy stanowiły jedną rodzinę, bo zawsze stały razem, i często można było widzieć, jak koń leży, a na nim wsparta głowa psa, czasem z jednego koryta zajadali w największej zgodzie osypkę, gdy koń się urwał ze żłobu. Sieci swoich nie brałem, wiedziałem bowiem, że Seweryn ma ich dosyć. Z mojej psiarni było 6 swór gończych i dojeżdżacz Wasylek na dereszowatym koniu. Muszę tu jeszcze dodać krótkie objaśnienie. Na jednym wozie było 5 sztuk sieci, każda sztuka 100 sążni długa, a 1½ wysoka, szpagat na sieciach niezbyt gruby, ale tak mocny, żeby wilk nie mógł go przerwać. Siecie rzucone nie są wyższe nad jeden sążeń, a pół sążnia leży na ziemi.

Na objad przybyło jeszcze kilku myśliwych, gawęda była ożywiona aż do 10 w wieczór jak zwykle w kole braci myśliwych o polowaniu. Potem na moją propozycyą wybraliśmy się wszyscy na wabienie wilków przez sławnego Kondrata, strzelca Seweryna Ab. Do kniei było blisko pół wiorsty od domu, a była to wierzchowina stawu zarośnięta oczeretem i łozą, z jednej strony ze sto morgów dębowego lasu gęsto podszytego leszczyną, tarniną, dzikim chmielem i pokrzywami. Cała knieja okopaną była rowem i tylko dwie rogatki do wjazdu zostawiono, z drugiej strony step. Poszliśmy więc stepem nieoranym aż pod samą *rudę*, **) Konrad odszedł od nas, a po dziesięciu może minutach usłyszeliśmy głos wilczycy cienki żałośny, przeciągły, a w tejże chwili po drugiej stronie zagrała taka muzyka, że aż dreszcz po plecach przeszedł, było to bowiem kilkanaście głosów wilczych, a były tam i starsze, i takie skomlenie, jakie się czasem u psów słyszy. Za nami daleko odezwało się wycie starego wilka, ale był to głos tak gruby, że go i sam Kondrat pewnie nie potrafiłby naśladować, tak jakby z beczki. Takiego głosu jeszcze nigdy nie słyszałem, chociaż dużo ich się nasłuchałem, bo i sam wabię, i zawsze na wabienie jeżdżę. Nasieszywszy się z pół godziny tą muzyką, gdy Kondrat do nas przyszedł, wróciliśmy do domu. W drodze mówił nam Kondrat, że jest 8 młodych, 6 *zolotków* *) i dwoje starych, chociaż wilczycy nie było. Zdarzyło mi się raz, że wabiąc zastałem w miocie wilczycę, i słyszałem, jak zagryzała młode, gdy który chciał się odezwać. Po powrocie każdy z nas obejrzawszy jeszcze raz strzelbę, poszedł spać z rozmarzoną głową. Konrad zawabił drugi raz na godzinę przed świtem, i odezwały mu się za linią w lesie na górze, a zwykle tam gdzie się rankiem odezwą, tam też na cały dzień pozostaną. O dziesiątej poszły siecie, i z jednego miejsca zaczęto je rzucać, sześć wozów poszło na prawo, tyleż na lewo, i po jednej furze tyk. Do jednej sieci trzeba najmniej czterech ludzi. Początek i koniec sieci nazywa się kulcem, przywiązuje się te kulce do koła z ostrem żelaznem okuciem, aby wbijając go w ziemię jak najmniej robić hałasu. Siecie są tak na wozie ułożone, że wóz jadąc rozciąga sieć, a wóz z tykami mniej więcej w odstępie dwudziestu kroków po dwie tyki zostawia. Gdzie ludzie są wprawni, rzucają sieci bez hałasu i bardzo prędko. Kiedyśmy przyszli o kwadrans na dwunastą, były już sieci rzucone kulec z kulcem t. j. naokoło kniei. Po przejściu grobelki usłyszeliśmy za sobą ruch niezwykły. Był to Adolf O. ze swoim szwagrem, przyjechali wprost do kniei angielskim kabryoletem, angielskimi końmi, ubior, broń, proch, śrót nawet — wszystko angielskie, z wygalonowanym strzelcem, a wszyscy trzej z kordelasem, a właśnie gdy przejeżdżali przez grobelkę, zrzucono w tem miejscu sieci. Ja widząc ich dałem znak, żeby się cicho zachowywali, a Adolf spostrzegłszy mnie, wyskoczył z kabryoletu i pytał. gdzieby najlepiej stanąć. Odpowiedziałem mu, że wilki zrana w lesie się odezwały i prawdopodobnie pierwsze strzały będą na środkowej linii, ciągnącej się przez las, więc on z innymi poszedł za Sewerynem, a ja z sześciu strzelcami udałem się drugą linią nad samą rudę. Szybko rozstawiłem strzelców, sam zaś pospieszyłem na dawne moje stanowisko. Nim się otrąbią i puszczą psy, trzeba być gotowym, bo stary wilk czujny i gdy spostrzeże, że jest obsaczonym, upędza się po kniei szukając miejsca, którędyby się mógł wymknąć, dla tego też zawsze pierwsze strzały padają do starego wilka. Stanowisko moje było na samym zakręcie rudy, oparłem się o dęba, na dwadzieścia kroków w prawo i w lewo miałem oczeret, przedemną na pięćdziesiąt kroków było odkryte miejsce, cypel, który wrzynał się w rudę, na którym rosło kilka drzew i trochę rzadkiej pokrzywy, za plecami memi był stromy pagórek. Nałożywszy pistony czekałem cicho stojąc, wtem na lewo odemnie padł strzał, a Seweryn, który prowadził polowanie, otrąbił się, zaraz odezwało się po drugiej stronie rudy kilka trąbek, i zaczęto spuszczać psy ze sworów. Znowu padło kilka strzałów, poczem jeden pies uchwycił na oko i więcej się do niego przyłączyło, aż nakoniec zagrała cała muzyka, a muzyka to była nie lada, bo złożona z trzydziestu swór gończych. Jeszcze dwa strzały padły, wtem widzę, jak dwa młode wilki kłusikiem przekradają się przez cypel z oczeretu do oczeretu, więc strzelam do jednego z jednej lufy, do drugiego z drugiej, i obadwa zostały na miejscu. Ledwie zdołałem nabić

*) *Kosohor*, stromy pagórek, najczęściej nad rudą (błotem).

**) błoto, bloto bekasie, moczary.

*) *Zolotek* jestto przeszłoroczny wilk, trzymający się gniazdowych, bo wilk dopiero po dwóch latach, może mieć młode. Lud ukraiński nazywa zolotka niańkią, bo najczęściej przesiaduje z młodemi, kiedy stare chodzą w nocy za żerem po mil kilka, gdyż wilki dla ubezpieczenia się nigdy w pobliżu gniazda szkody nie robią.

*

strzelbę, słyszę blisko za sobą gon psów i tentent jakby koni w pędzie, obracam się i widzę prawie nad sobą ogromnego wilka, strzelam na sztych może na dziesięć kroków, a że pagórek był stromy, to wilk przewracając się byłby mi upadł pod nogi, gdybym był na bok nie uskoczył. Mimowoli prawie przyłożyłem lufę do boku, i strzeliłem do wilka po raz drugi tak blisko, że flejtuch w nim się kurzył, ale strzał ten był niepotrzebny, bo pierwszy był śmiertelny. Największy to wilk, jakiego w życiu widziałem. Potem zabiłem jeszcze na dwadzieścia kroków młodego wilka, który z oczeretu ledwie nos mi pokazał, ale na chwilę przedtem słyszałem, jak łamał się oczeretem. Równocześnie padały gęsto strzały na obu liniach, a trąbka dość często dawała znać, że wilk zabity. W końcu ucichły strzały, tylko psy grały w rudzie jak w garnku, a zolotek z odbitą tylną nogą nie wychodził na brzeg, i psy męczył tak, że dwa aż kurczowych drgań dostały. Seweryn biega i prosi, aby go dobić, ale to rzecz nie łatwa, bo oczeret gęsty a wody do kolan. Może ze trzy kwadranse trwała już ta zabawka, słyszę psy wracające, idę więc w cypel, na którym o sto kroków może od końca stała wierzba w oczerecie, wchodzę w rudę i brnę wodą aż do tej wierzby, włażę na nią, a właśnie w porę, bo wnet słyszę już z bliska ujadanie psów i łamanie się oczeretu, widzę wilka jak go psy z tyłu szarpią, a on się odgryza i sunie pod samą wierzbę. Strzeliłem z góry może na ośm kroków, a tak szczęśliwie, że na miejscu został. Wziąłem wilka za ogon, i wyciągnąłem na brzeg. Wszyscy prawie myśliwi już mnie oczekiwali słysząc, że po strzale psy ucichły. Seweryn uszczęśliwiony — odbieram od reszty strzelców powinszowania, jeden tylko Adolf O. zły, bo nic nie zabił, chociaż strzelał, narzekał, żem mu źle poradził stanąć, i dawał słowo, że już nigdy ze mną na wilki polować nie będzie. Już też zakończyło się polowanie, zbierano psy na swory, trąbiono pojezdnego, ściągano i pakowano siecie na wozy, tylko ja i Seweryn zostaliśmy jeszcze. Po chwili zjawia się Kondrat mówiąc z kwaśną bardzo miną, że mu brakuje młodego wilka, który albo śmiertelnie ranny pozostał w rudzie, lub w lesie w pokrzywie przywarował, a że pokrzywa psa w nos parzy, przeto może najspokojniej tam się trzymać w ukryciu. Następnie proponuje, byśmy we trzech rozstawili się na środkowej linii w lesie, i aby dojeżdżacze podłożyli kilka swór psów z góry. Przyjęliśmy chętnie propozycyę, i wnet ją też ściśle wykonano. Ja stanąłem na stanowisku Adolfa O., a zaledwie kwadrans minął, usłyszeliśmy trąbkę i trzask z harapów jak strzały pistoletowe. Wtem wszystkie prawie psy porwały na oko, a za chwilę widzę wilczka sadzącego na mnie na sztych i psy siedzące mu tak na ogonie, że dopiero gdy mnie minął, wsadziłem mu cały nabój lotek w komorę na jedenaście kroków. U nas na Ukrainie tylko do wilka i dropia lotkami się strzela.

Wróciwszy do domu opowiadał Seweryn szeroko, jak szóstego wilka zabiłem, a gdy się Adolf O. dowiedział, że się to stało na jego stanowisku, tak się rozsierdził, iż myślałem, że nie uniknę z nim awantury, ale skończyło się wszystko na śmiechu, a pomimo danego przez niego słowa, polowaliśmy nieraz potem razem. Rzeczywiście byłto najszczęśliwszy dla mnie dzień odkiedy poluję na wilki, i wątpię, by się jeszcze kiedy powtórzył. W trzech godzinach do sześciu wilków strzelać i wszystkie na miejscu położyć, — to zaiste nie małe szczęście! Chorąży Sieniński zabił starą wilczycę i zolotka, Seweryn strzelał do czterech, ale żadnego nie ubił, co mu się prawie zawsze z wilkami zdarza pomimo, że na błotach i w kniejach lisy i kszyki bardzo dobrze strzela. Dziwiło to nas wszystkich, zapytany zbywał nas wybiegiem, ale sądzę, że wilk musi mu sprawiać nadto wielką emocyę, raz bowiem widziałem, jak prawie nie mierząc z obu luf do wilka wypalił, a może też jako kierujący polowaniem innym tę przyjemność zostawia, sam zaś tylko psami się zabawia. Byłem raz świadkiem zabawnej sceny z powodu jego passyi myśliwskiej. Polowaliśmy przy końcu Października w czasie, w którym się wilki nie zawsze na wabia odzywają. Tak też się stało, wabione nie odezwały się, ale widywano je codzień w kniei. Rzucono więc sieci, a kulce wyprowadzono na step, gdzieśmy stali z chartami. Otrąbiono się, puszczono psy, ale mija ze trzy kwadranse, a psów nie słychać, aż wreszcie słyszę psa jednego, ale nie gon, tylko naszczekiwanie, potem przyłącza się więcej głosów, a nakoniec padają dwa strzały, i rozlega się wrzawa czterdziestu psów i głos Seweryna: „huż! huż!“ Na polanie nad rudą massa psów rwie wilcze futro Seweryna, a on z największą passyą przyszczuwa. Gdy ochłonął, a dojeżdżacze psy zabrali na swory, pytam, jakim sposobem to się stało? „A no widzisz — odpowiada Seweryn — jak mnie młody pies w wilkach zobaczył, zaczął naszczekiwać, a że wilków w kniei nie było, więc też reszta psów na ten głos nadbieżała, i dalejże do mojej wilczury się dobierać, i byłyby mnie chyba zjadły, gdybym na szczęście futra nie nosił na jedno ramię, to też ściągnęły je ze mnie, i ot widzisz, co zrobiły, a że z taką zawziętością szarpały, więc dla zaprawienia ich chętnie przyszczuwałem, — ot i wszystko duszko (było to jego przysłowie). Uśmiawszy się z tej przygody, podłożono na nowo psy na lisy, których uszczuliśmy i ubili tego dnia jeszcze kilka. — Seweryn poluje przeważnie na wilki, a psy jego, szczególnie stare, choć ruszą lisa, sarnę albo zająca, to nie pogonią, dokąd naprzód nie wyszukają wilka, a jeżeli wilków w kniei nie ma, to można je po cichu wyłapać zwłaszcza gdy tego potrzeba wymaga np. jak wilki odezwą się rankiem między dwoma miotami, a nie można obu razem sieciami obrzucić, wtedy na chybił trafił obrzuca się jeden miot, a jak wilków w nim nie ma, wyłapuje się psy, obrzuca drugi miot, i tym sposobem nie psuje się polowania.

Kończę już opowiadanie moje o polowaniu w Horodku, nie chcąc się rozwodzić o gawędzie myśliwskiej przy obiedzie, która się aż do 11ej w nocy preciągnęła, dodam tylko, że na polowaniach w karty nie grywamy. Nazajutrz po śniadaniu, obejrzawszy jeszcze raz szesnaście wilków na szubienicy, rzuciwszy najgościnniejszemu z gospodarzy serdeczne „do widzenia“, ruszyliśmy razem na wilcze polowanie do Stepanek, majętności Seweryna A., bo Wrzesień prędko mija, a od 1 Października już tylko z chartami polujemy, ale rozkosz to prawdziwa tylko u nas. Kto nie polował z chartami na Ukrainie, nie może mieć wyobrażenia o tej rozkoszy, o czem może wam kiedy opowiem.

CHART

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

Polowanie z chartami.

(Ciąg dalszy).

Gdy mróz w Listopadzie ściśnie ziemię nie pokrytą na kilka cali śniegiem, to polowanie z chartami jest niemożli-

wem. Polowanie w tej porze nazywa się po łowiecku *na ostrem polu*. Zając ma już wtedy podeszwy grubo włosem podbite, może przeto bez szwanku nawet po ostrych kamieniach pomykać, i pewnie wymknie się chartom, które niemiłosiernie się podbijają i kaleczą, a co najważniejsze, *zsadza* pazury z łap przednich i zadnich, o których znaczeniu i potrzebie wyżej nadmieniłem. Charta bez pazurów porównać można do strzelby z łożem i zamkami, ale bez luf. Nie mniejsze grozi chartowi niebezpieczeństwo ścigania za zwierzem w zimowej porze, gdy na powierzchni śniegu utworzy się gruba lodowa skorupa, której zając i lis nie przebija, chart zaś *baluje* się, zapadając po brzuch, zwierza wziąć nie może, kaleczy sobie łapy, i staje się na długi czas niezdatnym do łowów. Są to wprawdzie dobrze znane reguły, przytoczyłem je jednak w celu przypomnienia szczególnie młodym często bezwzględnie na każdem polu i w każdej porze polującym.

Opisawszy polowanie z chartami na zające, dorzucić też trzeba słów kilka o naszym mądrym i przebiegłym Mekicie. Nieśmiertelny Göthe tak znakomicie scharakteryzował swego Reinecke'go, że na zawsze wytrącił z ręki pióro innym pisarzom. A jednak gdyby był Goethe znał polskie myśliwstwo, osobliwie charciane, byłby jego Reinecke o wiele więcej zajmującym, stworzone przez niego dzieło zyskałoby na obrazach. Nie wielka rzecz dla Reineckego nocą podkraść się pod kurniki, przycupić w zaspie siedzącego zająca, wybrać gniazdo zdusiwszy kuropatwę, a nawet kaczkę dziką siedzącą na jajach; zwieść psy gończe, powodziwszy je dobrze po lesie, a wreszcie smyknąć do kryjówki, i drwić z nich jeszcze. Nie sztuka ominąć zaczajonego nań myśliwego, którego zwietrzy zdaleka, zwłaszcza gdy nieprzezorny zapali sobie cygaro lub fajeczkę. Od człowieka ostrzeże go węch, wzrok i słuch doskonały, schroni gąszcz leśna, przed psami skryją nory, które zna wszystkie nie tylko w rodzinnym borze, lecz także na wiele mil w około. Ale w czystem polu o wiele trudniejsza dla niego rada, wtedy to jego rozum się wysila, a spryt do artyzmu się podnosi. Tu każdy ruch jego śledzi człowiek, a gdy przywaruje do ziemi się przyciskając, zdradzi go wrzaskliwa wrona, gadatliwa sroka. W czystem polu dopiero, a osobliwie na śniegu okazuje mistrz Reinecke, co umie, jakie zapasy przebiegłości gnieżdżą się w jego filuternej główce. Jeżeliś kiedy łaskawy czytelniku w jesieni szczwał lisa, to zaprawdę szczęście to nie małe i rzadkie zdarzenie. Jeżdżąc za zającem trafiłeś na lisa, który cię dawno spostrzegłszy przywarował w chwastach lub komeszy. A wieszże, za czem on po polu nypie — za myszami? Przenigdy! Mysz dobra, lecz w zimie, gdy nie ma nic lepszego. Czy sądzisz, iż on nie wie tak jak ty, że zając w głuchej jesieni dosiaduje twardo, choć koń obok niego tętni kopytami? Dla czegożby jemu podsuwającemu się cicho z nosem i uchem wytężonem nie miało się udać wpaść na leżącego w kotlinie szaraka? Ja sam złapałem go na takim gorącym uczynku, i charty chwyciły go wraz z zającem. Pewnego razu jesienią polując z chartami na zające, których natenczas było bardzo mało, zmęczony kilkogodzinnem szukaniem bezskutecznem w miejscach, które, jak mówią myśliwi, aż *pachły kopyrą*, dojechałem na ugor od wsi daleki, więc od dawna pługiem nie tknięty. Choć w połowie Października było jeszcze ciepło i dosyć zielono w około, ugor a raczej uroczysko to porośnięte było dość wysokimi burzanami, miedza zaś wcale szeroka odgraniczała je od gruntów cudzych, i porośniętą była wysoką tarniną. W pobliżu tej miedzy wiły się w kształcie poplątanych gęsto sznurków jeżyny czyli ożyny z gęstym na szypułkach jak mała śliwka dużym i ponętną barwą powleczonym owocem, który mnie nęcił do siebie. Puściwszy konie na paszę, poszedłem do ożyn, charty za moim przykładem również skubią jagody, pogryzą trochę i wnet wyrzucają z pyska dziwiąc się zapewne, że z takim smakiem je zajadam. Rzuciłem im po kawałku chleba, i zatopiłem się znowu w ożynach. W tem słyszę żałośne „*kniaź, kniaź*“, w tarninie. Na razie myślałem, że który z chartów wpadł na zająca, lecz charty są przy mnie. Następnie sądziłem, że z powodu ciepłej pory jeszcze się odbywa parkotnia, więc ciekawością zdjęty pogroziwszy chartom nasłuchującym, aby w miejscu pozostały, jak najciszej skradam się pod tarninę, uchylając ostrożnie kłujące jej gałązki, a okiem staram się przeglądnąć gąszcz, jakoż wkrótce spostrzegłem ogon lisi sterczący ponad tarniną, i słyszę ostatnie jęki biednego zająca. Lisiura widocznie tak mocno zajęty był tropieniem a następnie duszeniem swej ofiary, że nie zwietrzył mnie i psów, a gdym się zbliżył, nie dostrzegł mnie spuściwszy głowę ku zającowi. W tej chwili krzyknąłem: *heco!* charty przyskoczyły, pomknęły za uciekającym lisem, i wnet go wzięły. Był to nader rzadki wypadek. Lisa w jesieni umyślnie szukać, jest istną stratą czasu. Jednakowoż ile razy zdarzyło mi się w tej porze wypłoszyć lisa, zawsze znachodziłem go albo w komeszy, między chwastami lub tarniną zarosłej, lub też w bodiakach, gdzie najchętniej młodziki zające przesiadują. W tejto porze lis często przez dwa i trzy dni do nory nie powraca, w miarę żeru, jaki znachodzi. Nażarłszy się do syta zwija się w kłębek około południa w komeszy między trawą i sitnikami, lub jeżeli się tam znajduje, w jamie, a z zupełnym zmrokiem wyrusza „*na rozdobędę*“. W zimie gdy trudniej o żer, wyprawia się w pole na myszy. Po ścierniach ich najwięcej, bo tam mogły one zaprowiantować obficie swe magazyny, więc też tam lisiura najchętniej *myszkuje*. Gdy którą schwyci, trzymając w pysku, z radości skacze wysoko w górę, i spada na ziemię za wypuszczoną myszą, przyczem kita wyciągnięta, zadnie łapy w górze, a głowa, przód korpusu i przednie łapy prawie pionowo na dół zwrócone, tak chwyta wypuszczoną myszkę w powietrzu. Igraszka ta z myszą jest nader powabną, toż z przyjemnością przypatrywałem się nieraz tej hecy, aż wreszcie nasyciwszy ciekawość, gdy i lis mnie już spostrzegł i do odwrotu się zabierał, odkrywszy kocami przykryte na saniach charty, szczułem go. Łowi też lis myszy wygrzebywaniem ich jak pies przedniemi łapami z kryjówek, przy której czynności co chwila wsadza nos w dziurę i prycha pragnąc tym sposobem mysz na powierzchnię wystraszyć, a prychanie to ma mu ułatwić grzebanie w zamarzłej ziemi, a potrzebuje tego ułatwienia, bo nie bardzo chętny do wysilania się nawet w grzebaniu nor gniazdowych, i z tego powodu zwykle annektuje sobie mieszkanie borsucze. Obdarzony wybornym wiatrem *nypie* po tropach zajęczych, i idzie za tropem jak pies. Gdy zima śnieżna i burzliwa, a potworzą się zaspy śniegowe, wtedy zając wygrzebawszy sobie norę, kryje się, i pozostaje w niej czasem nawet dwie doby, a zadymka zatrze wszelkie ślady. Pod śniegiem zając się nie udusi, nieraz zdarza się widzieć jakby sznurek dymu z wąskiego komina dobywający się oddech zająca z pod zaspy. Wiedzą o tem myśliwi, wie kundys wiejski, wie o tem także i lis. Wtedy wprost skacze w głąb takiej skazówki, i dusi bezwładnego w głębokim śniegu zająca. Gdy się trafi rok, w którym myszy bardzo mało lub wcale ich nie ma, to wtedy nim moczary lub jeziora pokryją się lodem, wychodzi głodem zniewolony i ostatecznością zmuszony lis na żaby, węże i jaszczurki. Dawniej sądzono, że tylko osobny rodzaj lisa pożera węże i jaszczurki, i dawano mu nazwę *żmyjek*. Właściwość tę przypisywano mianowicie

lisom mającym w futrze, a szczególnie w kicie więcej czarnych jak rudych włosów. Koniec kity albo wcale nie miał w sobie białych włosów lub bardzo mało. Gatunek ten lisów był bardzo czarno podżary. Lisy takie bywają i dzisiaj, ale już im stanowczo odjęto właściwość pożerania gadów. Jak nas naturalna historya poucza, są to lisy zrodzone w głębokich borach górskich okolic, jakiemi są nasze Karpaty. Z tego naturalny wniosek, iż przebywając w ciemnych borach, nadrzecznych, nad potokami, przy tak zwanych *ściankach*, zawsze prawie olszyną lub łoziną porosłych, lub w końcu po górach gęsto jałowcowymi krzakami pokrytych, nie naraża włosa swego na wpływ promieni słonecznych, w skutek którego włos u lisa w dolinach mieszkającego jaśnieje. Równie też pożeranie płazów przez owe dawne *żmijki*, czyli po prostu przez lisy górskie (jak wiadomo zawsze drobniejszych kształtów i mniejsze wzrostem) nie było nigdy ich wyłączną właściwością, lecz raczej wynikało z konieczności. Mniej obfitujący w zboże kraj górski zawsze bywa rzadziej przez myszy odwidzany. One w wędrówkach swoich niechętnie zapędzają się w okolice najeżone górami, poprzecinane rzekami i potokami, przez które trudna dla nich przeprawa. Pamiętne w dolinach mysie lata, istna plaga dla rolników, nieznane były w górach. Lisy wywiedzione w lasach na równinach leżących, mniej wprawdzie są podżare od lisów górskich, ale więcej od stepowych lub polnych. Ostatnie w jesieni i zimie zawsze są więcej rude, czyli mniej czarne mają łapy, jak lisy górskie, a nawet na równinach wywiedzione. Jabym ród lisów naszych rozdzielił na trzy gatunki: górski, leśny i polny, a różnią się od siebie chyba odmianą włosa, nie zaś przymiotami, pod tym względem są równe, wszystkie rabusie godne zupełnego wytępienia. Pod względem barwy włosa wielokrotnie przekonałem się, że wszystkie młode lisy więcej są podżare i opatrzone czarnym włosem, jak stare, a włos ten w dalszych latach życia, przy każdem wiosennem lenieniu się coraz bardziej staje się żółtym. Przy trzeciem lenieniu zwykle ubarwienie włosa na całym korpusie się ustala. Żadne polowanie nie ma takiego uroku, jak na lisa. Reguł stałych w niem bardzo mało, lecz wyjątków niezliczona ilość, np. reguła każe lisa objeżdżać, ale lis raz już szczwany żadną miarą objechać się nie da. Objeżdżanie odbywa się w ten sposób, że się okrąża lisa robiąc coraz węższe koło, a następnie zbliżywszy się szczuje. Trzeba więc takiego lisa zaraz uciekającego albo na przełaj najechać, lub też w ukrytem miejscu oczekiwać wracającego do nory. Jak ostrożnym i przebiegłym jest lis raz już szczwany, dowodzi przysłowie powszechnie używane zastosowane do człowieka przebiegłego, mówi się o nim: to lis szczwany! Na poparcie twierdzenia o przezorności szczwanego już lisa, przytoczę własną przygodę. Pewnego dnia w Styczniu wybrałem się ze świtem z chartami na lisa. Taka wyprawa odbywa się zawsze nie konno lecz saniami prostemi bez literek lub drabin, aby chart wyskakując (jak to sam już doświadczyłem) nie złamał lub zwichnął nogi między szczeblami. Najlepsze do tego celu są sanie łubem wykładane, jakie wyrabiają się w Kamionce Strumiłowej. Konie powinne być założone w proste szleje, a naszyjniki nie łańcuchowe, lecz z postronków lub skręconej nici. Charty o ile możności starannie kocami przykryć należy, upiąć na smyczy nie tej, jakiej się używa do konia, ona bowiem za długa, więc chart mógłby się w niej splątać, lecz na krótkiej rzemiennej, którą zresztą lada cienki a niewęzłowaty sznur zastąpić zdoła. Dobre przykrycie psów z dwóch powodów jest koniecznem, naprzód dla ogrzania ich, następnie dla odjęcia im widoku na pole, w przeciwnym razie zrywałyby się przy każdej innej sposobności. Jechać trzeba jak najciszej, wszelkie pogadanki winne być zaniechane, więc tylko półgłosem można woźnicy wskazywać kierunek jazdy. Niecierpliwi myśliwi zwykle poszturkują niespokojnie poruszające się pod kocem charty, a one skowyczą, to dostateczne, aby wyborny słuch lisa ostrzegł go o niebezpieczeństwie, a w takim razie zadrze kitę, i rusza na cztery wiatry. Owóż wybrawszy się o świcie na to polowanie, zaledwie szarzeć poczynało, wyjechałem poza wieś, za którą rozlegały się obszerne pola. Sądziłem, że łapikura będzie niemi wracał z nocnej wyprawy do kurników chłopskich, a wieś ciągnęła się długim szeregiem chat i zagród wzdłuż wzgórza, na której leżała.

Pol mówi: A gdy świtem mknie ku dziurze,
Nie przepuszczaj łapikurze!

Mniemałem, że po zwyczaju wałęsa się koło wsi, aby przy dobrej sposobności schwycić kurę lub gąskę — ale nie było go. Nawróciłem więc, i pojechałem w przeciwną stronę. Zdala dostrzegłem myszkującego na polu, więc począłem go według reguł objeżdżać. Jakoś z początku dobrze szło, ale gdym się nieco zbliżył, a lis mnie spostrzegł, zadarł kitę w górę i co tchu umykał. On w prawo, ja w lewo, taki fortel udawał mi się często, że lis uciekając przez chwilę oglądnął się, co zawsze czyni, a widząc, że pogoń go nie ściga, stawał, myszkował i nie dostrzegł, jak człowiek w odwrotnej od niego będąc stronie, nieznacznie szerokiem kołem go okrążał. Takim sposobem lis, zwłaszcza nie szczuty da się często na kroków kilkanaście podjechać. Manewr ów jednak z tym lisem był bez skutku, *sznurkiem poczesał* ku lasowi. Galopem puściłem szkapy pragnąc na przełaj przeciąć drogę lisowi, i stanąć w wąwozie przy lesie, nim do niego nadbieży, skryć się i tam go oczekiwać. Udało mi się to mimo głębokiego śniegu, i wnet stanąłem w zasadzce. Czekałem dosyć długo, za długo nawet, bo jużby nawet małym truchtem mógł lis do mnie zdążyć. Zadrwił ze mnie filut. Wdrapałem się na brzeg wąwozu w celu rozpatrzenia się, ażali nie dostrzegę mego, jak na razie już zmiarkowałem, szczwanego lisa — niestety daremnie, zniknął. Nawróciwszy więc sanie zaledwie sto kroków ujechałem, widzę mego lisa w szalonym pędzie pomykającego do krzaków. Frant nie lada! myślę sobie, jakimże sposobem mógł niespostrzeżony przezemnie skryć się w wąwozie, a był to niezawodnie ten sam lis, o czem się później z tropu jedynego na ponowie przekonałem. Rozwiązałem tę zagadkę. Lis bardzo blisko odemnie się znajdował, przywarował, jak stwierdziłem na śniegu, gdy mnie zwietrzył w zasadzce. Wybornie wykonał dobrze obmyślany plan strategiczny, wypadało mu albo umykać nazad od wąwozu polem, a wtedy łatwo mógł być dostrzeżonym i poszczutym, lub zdobyć wąwóz przebojem, i prawie w oczach moich wytężonym pędem dostać się do lasu. Przywarował i umknął mi pod nosem, drwiąc zapewne z mego rozumu. Drugi podobnie mądry lis więcej jeszcze przysporzył mi trudu. Objeżdżałem może ze cztery razy, zanim udało mi się go przemądrować. Byłem przekonany, że ów podjeżdżany lis był zawsze jeden i ten sam. Ile razy ujrzał mnie na kilka tysięcy kroków, zadzierał kitę, i umykał do lasu, a zawsze w tę samą stronę, niedaleko dwóch dużych stert siana, stojących na łące, do której przylegało pole z owsianą ściernią. Próbowałem go podjechać w ten sposób, że prócz sani, na których z chartami jechałem, wysyłałem innych dwoje, które miały maskować prawdziwy cel wyprawy, wprowadzić w błąd starego wygę, i ułatwić mi zbliżenie się do niego. Nie udało się! Skoro spostrzegł zbliżające się troje sani w znacznej od siebie odległości (ja jechałem na lewem skrzydle od strony lasu, do którego

zwykł był zawsze umykać) stanął, widocznie układał plan, co mu czynić wypada. Jadąc w równoległej linii, zbliżyliśmy się ku niemu może na półtora tysiąca kroków, wtedy począł pomykać jak zwykle ku lasowi. Dobrymi końmi podążałem za nim co tchu, spodziewając się, że będę mógł go poszczuć. Inaczej się stało! Skoro lis spostrzegł moje sanie, zwrócił się w tył i umykał w przeciwną lasowi stronę. Co dziwniejsze, przemknął jak strzała ledwie na kroków kilkanaście przed dwoma saniami, widocznie bez obawy, i znikł za pagórkiem. Czyż zwietrzył charty dobrze przykryte kocami? — To trudne! Czy mnie poznał? To jeszcze trudniej! Ta bezskuteczna wyprawa była dla mnie bodźcem do rozprawiania się z tym mistrzem. Byłem pewny, że mocno przepłoszony lis nawet wtórego poranku o świcie do lasu nie wróci. Nadto jeszcze, chcąc go tem bardziej powstrzymać, podjechałem pod las, pozwoliłem chartom harcować. Tak objechałem cały lasek zostawiając wszędzie tropy charcie. Upewniłem się więc, że lis tak długo do lasu nie wróci, dokąd tropy chartów nie zwietrzeją lub się nie zatrą. Tropy zwierząt dłużej pozostają świeżymi na śniegu, jak na czarnej stopie, chyba je śnieg przyprószy, okiść nie wypełni je szronem i nie zatrze, lub wreszcie nie zwietrzeją, na co najmniej trzeba godzin 24. Tak przygotowawszy się do walnej bitwy z przeciwnikiem niepospolitym, wróciłem do domu. Usnuty plan wykonałem w następny sposób. Owe dwie sterty siana, o których wspomniałem, stały śród łąk, niezbyt daleko od lasku, a przytykała do nich ścierń owsiana dosyć znacznych rozmiarów. Drugiego dnia około północy księżyc zakryty był gęstemi chmurami. Zabrawszy charty na sanie i przykrywszy je trzema grubymi kocami, pojechałem na stanowisko, a służyły mi na ten cel owe dwie sterty, które dawały wyborne ukrycie wobec lisa i chroniły od wiatru dosyć silnego, lecz nie mroźnego. Osłoniwszy konie i siebie postanowiłem czekać na lisa choćby do białego dnia. Dziś sam przyznaję, że podobna zasadzka w nocy Styczniowej, długiej i zimnej jest nierozwagą, a nawet niedorzecznością — ale miałem wówczas lat dwadzieścia. Upragniony przezemnie śnieg zaczął z razu dużymi płatami polatywać, a następnie sypać jak z miecha. Choć dobrze ubrany, trząsłem się jak w febrze dzwoniąc zębami. Doczekałem się świtu. Już i wschód począł się rumienić, śnieg przestał padać, już i wrony jedna za drugą ciągnęły nademną w stronę wsi na śniadanie, w oddali kica zając najadłszy się odgrzebanej oziminki, idzie do swej dogodnej kotliny spać z otwartemi oczami — a lisa niema i niema! To rozbudzone życie i nadzieja nie wygasła spotkania się z lisem rozgrzewała mnie. Już była siódma godzina, gdy nagle widzę z po za sterty czeszącego żwawo lisiurę. Co kilkanaście kroków staje, wietrzy rozgląda się, tak przybył na ścierń, znowu staje, patrzy w ziemię, skoczył, złapał myszkę, i zjadł bez figlów, stary, gdzie mu tam igry w głowie. Rusza dalej, zbliżywszy się na sto kroków do sterty staje, a ja go wskazuję chartom, porwały się z miejsca, mój *Piorun* chart na pierwsze przywitanie jak utnie piersią w lisa, aż podleciał do góry, a potem poprawiwszy za kark ścisnął, i już wyzionął wraz z życiem wszystkie obmyślane a nie wykonane zbrodnie. Przystąpiłem do oględzin, czy umiejący zatajać swe zbrodnie nie zataił również życia, aby w chwili, gdy myśliwy odwróci od niego uwagę, uciec mu z przed nosa, jak to się raz stało, a którego wypadku byłem naocznym świadkiem. W pewnym miejscu urządzono polowanie. Prócz małego stadka sarn, zajęcy i lisów, grubszego zwierza w tej śród pól położonej kniei nie było. Jako nie tęgi strzelec, pojechałem z chartami, ustawiwszy się pod lasem, szczułem wymykające w pole zające, a nawet i lisy. Również poszczułem sarnę, która odbiwszy się od stadka, wytknęła z lasu. Charty ją doszły, lecz nie wzięły czy to, iż nie ścigając nigdy sarny, nie umiały się do niej zabrać, czy też, że sarna przebieżawszy w polu niewielkie koło, wnet wróciła do lasu. Polowanie to odbywało się z końcem Listopada, śnieg spadł już dość grubo — polowano z nagonką. Na 15 myśliwych ubito dwa rogacze, dwa lisy i około 20 zajęcy. Ja chartami wziąłem pięć zajęcy i jednego lisa. Nad wieczorem zszedłszy ze stanowisk, zebrano się u brzegu lasu, gdzie też w rządzie rozłożono ubitą zwierzynę. Myśliwy p. Jar... wkładając zwierzynę na podwodę liczy ją i doliczyć się nie może, sarny są, zające też wszystkie, ale lisy zamiast trzech tylko dwa, czy się między zające zamięszał, czy na saniach chłopskich w sianie zatrząsł, w końcu osądzono, że ktoś z nagonki lisa po prostu zwędził. Ztąd indagacya, nagonka rozbiega się na wszystkie strony, szuka po krzakach, po gałęziach, gdzie zwykle złodziej zwierzynę tymczasowo ukrywa. Wreszcie począłem szukać w mój sposób, będąc niemal pewnym, iż gdy ręka człowieka go nie usunęła, lis sam się ulotnił, t. j. przyczaił się, a w chwili odwróconej od niego uwagi umknął, i łazi gdzieś stękając po krzakach. Nic nikomu niemówiąc, wziąłem strzelbę od jednego z myśliwych, i zakreślając szerokie koło, począłem uważnie śledzić tropy na śniegu, a przypuszczałem, że lis dobrze ranny, kiedy już do nieżywych był złożony, musi farbować. Po chwili ujrzałem w istocie świeży trop mocno zafarbowany dążący w gąszcz, darłem się więc weń, i uszedłszy zaledwie sto kroków, znalazłem już martwego w śniegu. Nie podejmując go, zwołałem myśliwych i ukazałem im owego dezertera z katafalku. Żywotność lisa dziwnie jest twardą. Polując raz w zimie z chartami, naturalnie saniami, uszczułem lisa. Nie był zbyt wielkim, lecz nader twardego życia. Pomimo, iż chart kilkakrotnie porwawszy w paszczę tak silnie go zdusił i miotał nim że aż kości pogruchotał, mimo, iż chłopak ująwszy za zadnie łapy uderzał nim o przód sani tak mocno, że głowę mu roztrzaskał; to jednak przywieziony do domu i rzucony w sieni, odżył, i w moich oczach podniósł się na przednie łapy, i usiłował naprzód się posuwać. Z lisami zastrzelonymi lub wziętymi przez charty, bardzo trzeba być ostrożnym, osobliwie w jesieni polując konno, nigdy go równie jak zająca nie przytraczać do konia za zadnie łapy, tylko za szyję, silnie ją ścisnąwszy. Mnie zdarzył się wypadek, że przytroczony lis począł się ruszać, zrazu mniemałem, że w skutek ruchów konia, ale wnet przekonałem się, iż istotnie odżył, odciąłem go więc natychmiast nożem od troków, a psy go dodusiły. Podobne lecz smutniejsze zdarzenie opowiadał mi pewien młody człowiek, który złamaniem nogi opłacił swą niewiadomość czy nieprzezorność. Uszczuwszy lisa, a obawiając się, aby psy nadto skóry na nim nie potargały, odebrał go chartom i przytroczył za nogi. Koń był żywego temperamentu, lecz dobrze najeżdżony, zawiesił mu cugle na szyi, i kręcił papierosa, w tem koń jakby go kto żarem obrzucił, uciąwszy ogromnego szczupaka, nieprzygotowanego na ten skok choć dobrego jeźdźca wyrzucił z siodła, padł na grudę złamał nogę, omdlał, i nieprzytomny dostał się do domu, dokąd go chłopi odwieźli. Koń wieczorem dopiero, bez siodła, pokaleczony w skutek szalonego uganiania po polach, i w bok ukąszony przez lisa, wrócił do stajni. Nazajutrz znaleziono poszarpane siodło, a przy niem martwego już i równie poszarpanego lisa. Wielokrotnie przekonałem się, że w lisie tak długo tli jeszcze życie, jak długo źrenica jego jaśnieje blaskiem zielonego, lśniącego koloru. Przypominam więc jeszcze raz, nigdy lisa inaczej jak za szyję mocno ścisnąwszy, przytraczać nie należy. — Ów lis, którego z narażeniem zdrowia uszczułem

był już bardzo stary, świadczyły o tem tępe, widocznie przez długie użycie starte kły, a zamiast przednich zębów same tylko pniaki. Włos miał piękny, lecz tak osobliwie na grzbiecie pchłami oblazły, iż więcej żółte jak czarne i jakieś podługowate istnie się roiły. Widocznie brak dobrych przednich zębów nie pozwolił mu pozbyć się ich przez wyiskanie. Pcheł nabywa lis w jamie, gdy słoma, mech, liście, a nawet stare szmaty na barłog do jej wnętrza naniesione, zeschną i zetrą się. — Spryt lisa w łowieniu żeru jest zadziwiający, mianowicie zajęcy, kuropatw, kur w przyległych lasom mieszkaniach jendyków, gdy swoim zwyczajem wyruszają na ścierniska pszeniczne, często dosyć daleko za domem położone, gdy najadłszy się do syta jakby w reminiscencyi dawnej swych protoplastów dzikości całem stadem z swym bełkoczącym wodzirejem jendorem na czele, spieszą do lasów. Coś je tam ciągnie, jakaś nie do przeparcia siła, a powtarza się ów pociąg regularnie dwa razy w roku, na wiosnę i w jesieni. Czyli się w tem dawna ich pierwotna natura odzywa, czyli też ów pociąg do peregrynacyi odpowiada konieczności odlotu i przylotu ptaków dzikich? Wie dobrze pan Mekita o tej dziwnej chętce jendyków do wędrówki pieszej, w gąszczy przyczajony oczekuje ich przybycia. Choćby nie zwietrzył, usłyszy gwar zbliżającej się rzeszy, gwar ten zwabia wszystkie w okolicy przebywające lisy. Gdy się młode po lesie porozłażą, wtedy lis rozpoczyna polowanie. chwyta, dusi, i znowu przywaruje. Tak wszystkie wydusi, gdy się nie spostrzegą, i wcześnie z zarośli nie umkną. Takie łowy lisa własnemi widziałem oczyma. Młodym będąc chłopcem wybrałem się do lasu w celu zbierania orzechów. Usłyszawszy z wrzawą zbliżającą się jendyczą rzeszę, zaciekawiony byłem, jaki powód ją do lasu pędzi. Skrywszy się w gęstym krzaku, przypatrywałem się im uważnie. Jedne dziobały zawzięcie znalezione ślimaki połykając w całości, gdy były mniejsze, większe zaś rozdziobując w kawałki i pożerając wydobyte żyjątka; drugie szukały pod leszczyną orzechów, które połykały. Cała gromadka rozlazła się po krzakach, gdy w tem przemknęło coś żółtego obok mnie. Za chwilę spostrzegam małego jendorka uduszonego. Domyśliłem się interwencyi lisa, ale gdzie się skrył? Po chwili znowu przemknął, ale tym razem już go całego widziałem, jak udusiwszy znowu jendyka przypadł do ziemi, pragnąc nie nadto gwałtownem srożeniem się i płoszeniem zapewnić sobie tem bogatszy łup. Ale przeszkodziłem niecnym jego zamiarom, wyskoczywszy z ukrycia odstraszyłem lisa, i wypędziłem z krzaków jendyki. (Dokończ. nastąpi).

WSPOMNIENIA
Z ŁOWÓW NA DZIKI

PRZEZ

KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

(Dokończenie).

VIII.

Przystępuję w końcu mych opowiadań do dwóch najprzykrzejszych zdarzeń w mym zawodzie myśliwskim, a nie życzę nikomu, by doznał tych wzruszeń, zmartwień i niepokojów, jakich ja doznałem. Polowałem z psami w samborskim obwodzie, gdy się do mnie przypłątało kilku myśliwych ze Lwowa, nie bardzo pragnących spotkania się przy psach oko w oko z odyńcem, których nadto posądzałem, że ich miłość bliźniego nie tak gorąca, aby mogła powstrzymać od strzału do człowieka, a tem bardziej do psa. Byli to ludzie widocznie nie oswojeni z tego rodzaju polowaniem. Już to z ich powodu, już też, że mi wypadło krajne stanowisko, nie chciałem stanąć w jednej linii, rozstawiwszy więc wszystkich, wsiadłem na konia i stanąłem na brzegu miotu przypuszczając, że się który dzik (a było tam stado dużych w czasie hukania) odbije i wysunie na mnie, lub też, że psy po strzałach pójdą z dzikami w dalsze mioty, kazałem psy puścić w trop, a sam czekałem. Niebawem słyszę głośne naszczekiwanie przez długi czas na jednem miejscu, widocznie rozromansowane dziki ruszyć nie chciały, gdy już zsiadałem z konia, aby psy strzałem wynadgrodzić za znakomite trzymanie dzików na miejscu, słyszę dwa strzały, dalej nawoływanie i odpędzanie psów, widzę samurę wysuwającą się na liniję, którą przeskoczyła i z dwoma psami weszła w gąszcz. Znając przesmyki i ulubione miejsca dzików, popędziłem o pół mili na trzecią linię, lecz samura widocznie przepłoszona wyprzedziła mnie galopem, stanęła w rowie wodą napełnionym, i broniła się naszczekującym psom. Koń mój nie chciał przeskoczyć rowu z płaskimi i śliskimi brzegami, nie pozostawało mi więc nic innego, jak zsiąść i puścić konia, nie było bowiem ni drzewka ni gałęzi do przywiązania go, i to właśnie było powodem doznanego nieszczęścia, gdyż dziarski i przywiązany do mnie wierzchowiec, uznał za stosowne mnie opuścić i powrócić do towarzystwa zaalarmowanego powrotem konia bez jeźdźca. Podchodzę samurę walką z psami zajętą na 40 kroków, mierzę i strzelam, — zachwiała się, bryznęła ciemną farbą na śnieg, i poszła z jednym psem, drugi widocznie był mocno przez nią poturbowany, gdyż uchylił się od dalszej pogoni. Patrzę za zwierzem idącym wolno rzadkim lasem, i jak daleko oko sięgnąć zdołało, widziałem smugę krwi. Markotno mi było, gdyż widocznie za wysoko trafiłem dzika, zakrytego ścianami rowu, nabiwszy więc strzelbę, trąbię z całej siły, aby towarzyszów z psami sprowadzić i wziąć samurę, wreszcie posuwam się za tropem, i słyszę za sobą chód dwóch ludzi. Muszę tu nadmienić, że jeden z moich znajomych miał strzelca, istnego kłusownika, plagę całej okolicy, a tak strzału chciwego, że z przed swego pana zabijał zwierzynę. Zobaczyłem go i niemiło mi się zrobiło, ponieważ jednak jego pryncypał surowo mu zakazał strzelać do tego dzika, poszedłem spokojniejszy za farbą. Po chwili przybiegł do nóg moich pies, i począł się łasić, wziąłem go na sznurek trąbki, wielce zadowolony z jego powrotu, bo z tąd dedukowałem alternatywę, że dzik leży, a pies nie odważył się w pojedynkę go szarpać, lub też chodzi, więc przed psem nie zalęgnie do wieczora. Idę przez całą godzinę, owi dwaj postępują za mną o kilkaset kroków, i dochodzę do młaki z czarnej wierzby, przerośniętej trzciną, w której środku spostrzegam dużą czarną kupę. Podchodzę z psem i puszczam go na trop, pobiegł, naszczekał, podniosła się samura, lecz z miejsca nie ruszyła, a ja strzeliłem do niej najspokojniej jak do chałupy. Samura pada, a z drugiej strony młaki słyszę jękliwym głosem wyrzeczone wyrazy: „Boże mój, jestem przestrzelony!“ Biegnę w to miejsce i widzę leżącego we krwi przeklętego kłusownika, którego zostawiłem za sobą o kilkaset kroków. Kula przeszyła udo wyżej kolana, nie naruszyła kości, lecz została w mięsie. Ściągnęliśmy mu buty, rozebrali do naga, chustkami obandażowali nogę, i Bóg łaskawy na swego sługę dopuścił, że konie z saniami poczmistrza stały właśnie na drodze w bliskości. Ból, zimno, do tego febra mroziła biedaka, i jak żyję nie widziałem, by się kto tak trząsł i dzwonił zębami, jak on, jęczał i wołał, że nie dojedzie. Nareszcie donieśliśmy go do sanek i odesłali do stryjskiego szpitalu. Mogą sobie czytelnicy wystawić moją noc, zatrutą myśl, i moje usposobienie, bolałem srogo, bo cho-

ciaż nie ja jego, lecz on sam się zabił nadstawiając się pomimo zakazu, to jednak obraz śmierci przerażał mnie. Drugiego dnia pospieszyłem do szpitala, i usłyszałem z radością nie do opisania, że kula szczęśliwie wyjętą została, i że rana nie grozi wcale niebezpieczeństwem. Epizod ten smutny i niezwykły opłaciłem 300 złr. z wielką krzywdą dla zwierzyny, gdyż ów niepoprawny kłusownik przy swej niepospolitej sile i zdrowiu niszczył ją zapewne dalej, bo po trzech-tygodniowej kuracyi chodził znowu nieustannie ze strzelbą.

Drugie zdarzenie tkwi w mojej pamięci, dotąd nie wyjaśnione, a mogłem je życiem przepłacić. Bywają wypadki tak wyjątkowe, niezgodne z naturą zwierząt i ich zwyczajami, że mimowolnie myśl bada przyczynę i szuka bez skutku porównania. W r. 1856 psy oderwały od stada dużego warchlaka, i pogoniły go pomijając linię strzelców, a ja pospieszyłem na koniu galopem za nimi. Warchlak jak szalony pędził wzdłuż mych lasów mających do $^3/_4$ mili przestrzeni, istny świński zając, i ani razu nie stanął, ani razu go psy nie doszły i nie przytrzymały. Dla czego ten warchlak tak pędził, i z kąd miał tę ogromną siłę odyńca? To trudno odgadnąć, a krocie takich zdarzeń przekonują, że w każdym gatunku są wyjątkowe stworzenia z wadami, z przymiotami, różniące się charakterem i zwyczajami od swych współplemieńców. Moje polowanie w tym dniu było istną zabawką w łapankę, ile razy udało mi się przegonić warchlaka, idącego gąszczami i zaskoczyć drogę, on ją już był minął, i tak trudził mnie od rana aż do trzeciej godziny. Wreszcie dostawszy się pomiędzy jary, począł kręcić, stawać i walecznie się psom odcinać. Zsiadłem z konia, podszedłem ponad debrę, i w chwili, kiedy stojąc na samym brzegu miałem strzelić, on puścił się na mnie z otwartym ryjem w takim impecie, że nie miałem czasu wymierzyć i strzelić, począłem umykać w koło buka, stojącego nad samym jarem, w strachu rzeczywistym, gdyż bardzo łatwo można było wpaść w bezdeń, a warchlak z godną podziwienia wytrwałością gonił mnie, i ani chwili nie dał mi spocząć. Nareszcie nadbiegły psy, przytrzymały go, ja strzeliłem, i zwalił się waleczny dziczek do parowu. Te krocie tropów narobione w miocie i zmęczenie mego Siwka było powodem, że o mało życiem nie przepłaciłem spotkanie z odyńcem w dniu następnym. W tym samym miocie, nad samą wsią, gdzie było stado, obległ odyniec drugiego dnia, widocznie szukając wybranej samury. Był u mnie sąsiad, doskonały myśliwy i celny strzelec, więc zebraliśmy się i pojechali do lasu. Według mego doświadczenia psy zawzięciej gonią odyńca, jak stado. Droczone i na niebezpieczeństwo wystawione prześladują dzika ze złością i pragnieniem zemsty, przeciwnie goniąc stado, gonią wszystkie sztuki naraz, lub też kilka, więc nie tylko siła psów rozerwana, ale nadto jeszcze bałamucą się, często opuszczają gonioną sztukę, idąc za głosem naszczekiwania, a wtedy oderwą pojedyńczego dzika, a stado tymczasem wynosi się. Odyniec czekał na nas spokojnie w barłogu, obstawiliśmy miot, a mój towarzysz stary i doświadczony wyłazi na świeżo postawiony sąg drzewa, już to dla lepszego rozglądania się, już też dla ukrycia swej postaci niepospolicie długiej, i za ten nieszczęśliwy pomysł srogo został ukarany. Ja w przekonaniu, że odyniec będzie szukał stada, i pójdzie w jego kierunku, stanąłem na wczorajszym tropie, lecz instynkt mój myśliwski zawiódł mnie w tym dniu. Pocieszną memu oku przedstawił scenę mój długi i siwy towarzysz, i dziś go jeszcze widzę, jak machnąwszy koziołka znalazł się pośród psów, i balansującego na ruchomych łupkach sągu. Ledwie tropowiec naszczekał, już widzę posuwającego się ku górze odyńca, a gdy go psy naparły, ruszył galopem na wyżej wymieniony sąg. Mój sąsiad zgiął się, potknął, wyprostował, wymierzył i strzelił, ale wiatr poniósł kulę, strzelił bowiem w chwili, gdy dzik był pod sągiem, poczem zachwiał się, nachylił i spadł w środek psów, nie przygotowanych na przyjęcie takiego pojedynku. Nie uniesiony uczuciem troskliwości, zostawiłem losowi mego towarzysza, i pogoniłem na zmęczonym koniu wczorajszym tropem za odyńcem. Dojechawszy na tę samą linię, na której zostawiłem był konia, usłyszałem naszczekiwanie w parowie na miejscu przez kilka minut. Mój siwek w tym nieszczęśliwym dniu był wystawiony dwa razy na śmierć przez rozprucie brzucha, a wyszedł bez szwanku niepojętym sposobem. Niepodobna wątpić o naszych instynktach złych i dobrych, szkodliwych dla nas i korzystnych. W tej chwili mój instynkt uratował mego ulubionego siwka, wytłumaczyć sobie jednak nie mogę, dla czego przywiązałem go wtedy powyżej mej głowy do buka, kiedy zawsze nisko go wiązałem w pospiechu. Pełen obawy o rozżarte psy w obec tak groźnego wroga, biegnę co tchu ku parowowi. Był to staropniowy, dębowy las, leszczyną podszyty, przerznięty głębokim jarem, a po środku łączka, rozległości kilku sążni kwadratowych. Zanim dobiedz zdołałem do połowy miotu, już widzę pieniącego się ze złości, najeżonego dzika zdążającego ku polance. Stanąłem schowawszy się za dęba, wymierzyłem spokojnie i dokładnie oparłszy broń o drzewo, i strzeliłem z tem przekonaniem, że dzik trafiony w komorę, śmiertelną otrzymał ranę. Nie było czasu do rozumowania, dzik bowiem pędem błyskawicy zwrócił się ku mnie, wymierzywszy fatalnie ciął w korę dęba i zarwał kawał mojej lisiurki, bom się wygiął ze strachu w przeciwną stronę. Chybiwszy mnie, spostrzegł przywiązanego konia, i z tym samym impetem uderzył na niego. Jak sobie poradził mój rozumny koń? Naprzód począł targać trzlę, a gdy się nie oderwała, rozkroczył się, przysiadł na nogach, w chwili zaś zbliżenia się kłów do brzucha, stanął dęba i wyprostował się pionowo. Każdy przyzna, iż manewr ów nie był bezmyślnym, a ja sobie wdzięczny byłem, żem konia wysoko przywiązał do drzewka, bo niżej przywiązany byłby kiszki na kłach zostawił. Gdy do niego przybiegłem, trząsł się jak w paroksyźmie febry, a po chwili był cały potem oblany. Nie mogłem wsiąść na trzęsącego się konia, więc piechotą pogoniłem za zuchwałym odyńcem, idącym w tropy wczorajszego warchlaka. Pomimo widocznej płucowej farby, tak mnie ona i tropy warchlaka i odyńca obałamuciły, a może też i moje rozgorączkowanie było tego przyczyną, że jak to chłopi mówią *obłęd mnie opanował*, i z labiryntu tropów wydobyć się nie mogłem. Wreszcie nadjeżdża mój nadleśniczy, a wysłuchawszy opowiadania i widząc farbę świadczącą o śmiertelnym postrzale, rzekł ku wielkiej mojej radości: „on już leży, bo i psów nie słychać“. Po naradzie postanowiłem dalej sylabizować tropy, a jemu poleciłem objechać miot i wrazie wyjścia odyńca dać mi znać trąbką. Chodzę i błądzę, jak dusza w czyścu, w końcu znajduję trop ciągle farbą znaczony, już więc łudzę się nadzieją dojścia nieżywego odyńca, gdy w tem słyszę głos trąbki oznajmiający przejście dzika do drugiego miotu. Już słońce zachodziło, światło dzienne mroczyć się poczynało, a tu jeszcze tyle pracy miałem przed sobą. Powróciłem do Siwka, pomimo bronienia się i forkania wsiadłem na niego i pospieszyłem za głosem trąbki. Gdy nadjechałem, wskazał mi nadleśniczy klinek młodej dębiny gęsto podszytej, w którą wszedł odyniec. W przekonaniu, że taki matador w małym kawałeczku lasu na śmierć się nie ułoży, mając zapewnienie, że nadleśniczy tego klina nie objechał, kazałem mu obciąć gęsty zrąb na drugim pagórku, sam zaś na mocno zmęczonym koniu jadę pod dębinkę, i śród

gęstej tarniny przy samej łące, którą jechałem, widzę czarną dużą kupę, ponieważ jednak mrok już zapadał, nie mogłem rozpoznać, coby to było, więc pojechałem dalej szukać wychodnego tropu. Gdy dolazłem do końca tego klinu, zobaczyłem ślady pobojowiska, rozliczne tropy dzika i psów, oraz dosyć farby jasnej i ciemnej, objechałem łąkę, i przekonałem się, że dzik nie wyszedł z tego malutkiego miotu, więc tu być musi, a psy gdzieś przepadły. Dobrze to przysłowie mówi: *„Kogo pan Bóg chce ukarać, rozum mu odejmie“*, na myśl mi nawet nie przyszło, że ta czarna kupa, od której na metr przejeżdżałem, może być martwym dzikiem. Mój Siwek znużony ledwo lezie potrząsając uszami z głową i w myśli niezawodnie narzekając na namiętność swego pana, mnie zaś markotno, że ani psów ani moich myśliwych przy sobie niemam. Do zrozumienia całego epizodu trzeba jeszcze dodać, że leżałem prawie na szyi konia, aby tropu nie prześlepić, a koń szedł ze spuszczoną do ziemi głową bez cugli. Nadjeżdżam po raz drugi nad czarną kupę, i gdy ją mijam, podnosi się potwór z trzaskiem i fukiem, ja konia łytkami i nogami prę, ale memu Siwkowi ani w głowie zmienić swój żółwi krok, a widocznie dzika nie słyszał, bo byłby na pół żywy jeszcze galopem uciekał. Co się ze mną działo, opisać trudno, i co dzik dokazywał z tyłu, wiedzieć nie mogłem, bo koń, zachwiał się, zgięły mu się kolana, ja spadłem na głowę jego, a gdy po chwili Siwek jakoś się ocknął i wyprostował, znalazłem się znowu w siodle. Zwracam głowę i widzę olbrzymiego dzika wracającego chwiejnym krokiem do tarniny. Złożyłem się, strzeliłem, dzik się potknął, lecz idzie dalej, zeskakuję z konia i strzelam po raz drugi, poczem odyniec siada i kłapie zębami. Po tylu wzruszeniach już siły mnie opuściły i nogi odmówiły posłuszeństwa, siadłem, a tymczasem nadbiegł nadleśniczy i dobił dzika. On patrzał na ten cały dramat, a nie mógł mnie ratować, i potem mi opowiedział, że odyniec wolno wszedł między tylne nogi konia i widocznie usiłował rozpruć mu brzuch, lecz koń był za wysoki, więc po kilku daremnych wysileniach cofnął się, odwrócił i poszedł w las. Trudno było stanowczo wyrzec, kto z nas obu większym był przejęty strachem i wzruszeniem, gdyż towarzysz pewny, iż patrzy na ostatnią moją godzinę, był blady jak trup, a trząsł się jak zwiędniały listek jesienny. Teraz też przypisywałem moje nieszczęście szpiczastym kulom, mam bowiem przekonanie, iż odyniec byłby od okrągłej kuli zginął na miejscu, pomimo wysokiej rany, ale zawsze jeszcze w komorze. Siwkowi po tej awanturze jakby urosły cztery świeże nogi, więc połączywszy się z klaczą nadleśniczego pobiegł cwałem w las. Nie miłe było nasze położenie i zaiste nie do pozazdroszczenia, noc już ciemna zapadała, byliśmy bez koni, bez sanek, o milę od domu oddaleni, z próżnymi żołądkami, bo bez pożywienia od rana, a do tego dawało się czuć strudzenie we wszystkich członkach nie do opisania, szczególniej w moich kolanach. Dźwignął mnie towarzysz i podtrzymując doprowadził do domu o godzinie 10tej wieczór. Zastałem nader sympatycznego znajomego czekającego na mnie, więc przy wesołym i trochę oblanym obiedzie on mi zazdrościł tej awantury, ja zaś bynajmniej nie pragnąłem powtórzenia jej. Nazajutrz pojechaliśmy wszyscy na pobojowisko zabrać odyńca i robić obławę na konie, które w przerażeniu zapchały się w niedostępny gąszcz, i tam przez całą noc marzły do rana.

W Stryjskim obwodzie polowaliśmy kilka razy na trzechletniego odyńca doskonale obznajomionego z polowaniem, przy najlepszym bowiem wietrze uderzał on groźnie i walecznie na nagankę, przebijał się i uchodził, nawet strzały go od tego manewru nie wstrymywały. Niepodobna było dostać tego dzika, a że koło Żurawna pewien dzierżawca posiadał trzy kundysy, złe jak czarty i na dzikach zaprawione, przeto nabyliśmy je. Odyniec pewny siebie, lekceważąc obławę, powrócił po kilku dniach do obranego barłogu i oblęgł. Z wielkiem zadowoleniem dowiedzieliśmy się o tem i pojechali na dziarskich koniach do lasu, ja na moje nieszczęście na ogierze butnym wschodniej krwi, który wcale nie uspokajał mojej krwi i ręki. Puszczono te trzy szatany psie do barłogu, a odyniec wolnym krokiem defiluje przed nami jakby urągał, i wychodzi skrzydłem na strumień i leśne łąki. Dosiadam mego lansadującego rumaka i jadę za psami, ale bez chłopaka dodanego mi, który gdzieś się zapodział na moje nieszczęście. Jego nieobecność była powodem utraty psów, bo z konia wielkiej wartości nie mogłem strzelić, ani też go samopas puścić. Nieustraszony odyniec i doświadczony widocznie lekceważył sobie nas, psy i całe polowanie, wykąpał się swobodnie w strumieniu, wyszedł na brzeg, otrząsł się kilkakrotnie, a zmierzywszy okiem psa uderzył nań i zabił, drugiemu rozpruł wnętrzności, a trzeciemu uciął jak brzytwą tylną nogę w obec mnie i tańcującego konia, który doprowadzał mnie do ostatecznej niecierpliwości nie dozwalając mi swoją niespokojnością ani psy ratować ani ich pomścić. Te trzy znakomite cięcia zadane w jednej minucie przejęły mnie niemałem zdziwieniem, i dziś jeszcze widzę tego zaiste wyjątkowego dzika patrzącego spokojnie na pokonane psy, jak gdyby się zastanawiał, czyli któremu z nich nie trzeba będzie zadać nowego cięcia, a potem kroczącego najspokojniej po zarosłych, okiem nieprzejrzanych łąkach. Odciąłem psu nogę wiszącą na skórze, był to ów dzielny później śpiewak, mój trójnogi nieoceniony tropowiec. Czyli ów waleczny dzik zginął później, nie mogłem się dowiedzieć, ale do swego ulubionego barłogu już nie powrócił, a we mnie dziś jeszcze kipi krew pragnieniem zemsty.

Jak wyżej już wspomniałem, zwierz jeden od drugiego różni się charakterem, zwyczajami, a niekiedy ma zupełnie wyjątkowe chody, żerowiska i kryjówki. Doniesiono mi, że w Korczynie nad samą wsią bywa codzień odyniec, wyrządza znaczne szkody, i że na kilku urządzonych polowaniach nie zdołano go zabić. Wyprawiłem się na tego dzika w końcu Sierpnia i puściłem w tę małą olszynę tropowca, a sam stanąłem od wyższych gór, dokąd zawsze dąży grubszy zwierz jako do pewnego asillum Nie zawiedliśmy się, odyniec oszczekany i napędzony minął nas, i poszedł z psami w góry. Dzień był śliczny, droga mszasta do jazdy, atmosfera smolna, szpilkowa, balsamiczna, spiew dziewcząt pasących bydło, gra chłopców na fujarkach, klekotanie dzwonków u szyi bydła, niebo czyste i jasne, tło lasów niebieskawe, odblask promieni słonecznych łamiących się na stożkowatych górach, wyziewanie, parowanie z ziemi nocnej rosy, podnoszące się jakby gazowa kurtyna — to wszystko tworzyło uroczy i wspaniały obraz. Lekko mi było w duszy, umysł swobodny, radość w sercu. Dzik pomimo, że się wychował, jak twierdzono, śród ludzi, przeczuł niebezpieczeństwo, szybko więc w prostej linii posuwał się ku górzystym lasom. Nie było czasu do stracenia, gdyż na czarnej stopie jedynie głos psów mnie prowadził, i gdyby były psy zaszły za pagórek pierwszy do jaru, już moje polowanie byłoby stracone. Miałem wtedy doskonałą klacz istną artystkę w gimnastycznych ruchach, więc przeskakiwałem lekko kłody i leżaki, a barykady z łomów utworzone przełaziła klacz moja jak gazela. Dotarłem wreszcie do polanki świerkami zarosłej i do naszczekujących psów. Podkradam się więc pod psy, które widzę rozsrożone, ale dzika przy nich niema. Czary czy omamienie, — cóż się z nim stało? Była tam miejscowa, prześliczna suka, wielkości niemal jałówki, zażarta i odważna, ta najeżona naszczekiwała na leżącą czarną kłodę olbrzymich

rozmiarów i nasunęła mi myśl, że dzik umieścił się pod tą barykadą, aby zadu swego bronić. Odwodzę kurki i obchodzę ostrożnie do koła kłodę, lecz dzika nie widzę, rozpatruję się na nowo i spostrzegam sukę zbliżoną do czarnego otworu, istnej pieczary smoka, szczekającą. Zbliżam się do niej, wyginam się, zanurzam wzrok w głąb tego dziupła, lecz nic dostrzedz nie mogę. Reszta psów ostrożniejszych wprawdzie w większem oddaleniu, ale nie mniej zajadle szczeka na ów otwór. Widocznie wcisnął się odyniec do środka, czego jeszcze pewnie nikt nie widział i nie przypuści, aby takich rozmiarów zwierz mógł się zapchać głęboko w dziupło drzewa leżącego. Zamiast stanąć na boku, pukać w kłodę, i czekać wysuwania się odyńca, włazi mi w głowę arcygłupi koncept wypędzenia dzika chodzeniem po kłodzie. Czart mnie do tego skusił, trzeba bowiem wiedzieć, że był to leżak zgniły, śliski jakby mydłem posmarowany, a do tego sękaty i nader niebezpieczny. Włażę nań od przeciwnego końca, balansuję jak skoczek na linie, chwieję się, spadam, znowu wyłażę z uporem głupca, bo już też próżne wysilenia mogły mnie były przekonać, że pewny chód po tej kłodzie jest niemożliwy, lecz ja z zagwożdżoną w tej chwili głową idę dalej, a gdy doszedłem do połowy drzewa, słyszę pod sobą łomot i trzask, składam się, więc będąc pewnym, że dzik wyrusza, ale w tejże chwili tracę równowagę i spadam na twarz. Odyniec jak strzała przeszył złaję psów i popędził ku rzece, przepłynął ją i poczał się drapać pod strome ściany, ja pędzę za nim z psami, lecz pogoń ta była bezskuteczną do samego wieczora i musiałem porzucić dzika, którego miałem pod sobą na cztery cale.

Dziki doskonale pływają i prądu wody nawet bystrego się nie boją, często nawet przepływają Dniestr, Prut, Bystrzycę, Świcę, Sukiel, Stryj i mniejsze rzeki, o innych zaś nic powiedzieć nie mogę, dalej bowiem moje doświadczenie nie sięga. Odyniec w wodzie jest okazały, podnosi grzywę, strzyże uszami, najeża czub i trzęsie ogonkiem ponad zwierciadłem wody, pruje ją szybko, prąd mało go unosi, a gdy na brzeg wychodzi, wypoczywa po wielkiem widocznie wysileniu, otrzęsa się kilkakrotnie i po chwili rusza w dalszą drogę. Przeciwnie ciężkie samury płyną wolno, nigdy nie przepływają w prostym kierunku, bo woda je unosi, małe zaś rechtając kładą na starsze ryjaki swoje lub jeden na drugiego, i tak w kupie płyną. Znałem duże stado czyniące znaczną szkodę, przeprawiające się w tem samem miejscu przez rzekę w nocy i powtarzające ten manewer znowu rano z powrotem do głębszych lasów. Czyniły to przez trzy miesiące aż do zimy, a my nie mogliśmy temu przeszkodzić. W Listopadzie poczęła się woda przy brzegach ścinać więc musiały lód racicami łamać. Opowiadano mi, że stare zapędziwszy w tył warchlaki, łamią lód naprzód przedniemi potem tylnemi nogami, powracają na brzeg i znowu dla dzieci robią koryto, dopiero gdy przeprawa ubezpieczona, wołają warchlaki i rzucają się wpław. Rozumne te i ostrożne dziki chodziły do pszenic, jarego zboża, kukurudzy, w końcu do dębiny gęsto podszytej ze zwartymi młodnikami, a nigdy tam nie oblęgły, widocznie omijały miejsce i okolicę, gdzie szkodę robiły. Polowaliśmy na nie z psami i na zasiadkę, a nigdy żadnego nie można było ubić, a ile razy psy przytrzymały warchlaka, to stare go obroniły i psy nam poturbowały.

Stada zalęgają prawie zawsze w gąszczach, odyńce mają swe wyjątkowe zwyczaje, często w staropniowym lesie rzadkim układają się w jarach lub pod kłodami, widziałem leżące na stromych ścianach nad rzekami, odzwierciedlających się w wodzie, gdyby który z nich zabity był w takiem legowisku, byłby się niezawodnie do wody stoczył. Ufny w swoją siłę i odwagę, pewny swego słuchu i nadzwyczajnego wiatru, układa się odyniec często w miejscowościach pełnych życia i ruchu. Gdy się dziki cisną do stożków i kopic siana, to jest to zapowiedzią srogiej zimy, zawierzuch, i silnych mrozów. Był to zawsze nieomylny termometr, a nieraz w życiu go badałem, nawet w roku, w którym spisuję moje wspomnienia już w Grudniu zastałem w jednym kopiaku cztery warchlaki, jak się zdaje, osierocone, w drugim samurę z młodemi i dwoma większemi sztukami. Badanie tych zimowych kryjówek wielce jest zajmujące, więc je tu opisać muszę. Już wspomniałem o tym ogromnym odyńcu tak twardo leżącym w kopicy, że dozwolił mi na kilka kroków do siebie przyjechać pomimo hałasu z łamania kopytami lodu. Wygonione z tych ciepłych i miękkich barłogów są złe, najeżone i gotowe do walki, widocznie nie rade opuszczają te wygodne legowiska podobnie jak ludzie wypędzeni w zimnym pokoju z ciepłego łóżka.

W samborskiem polowałem w mroźny czas, rozstawiwszy myśliwych, sam musiałem stanąć na kraju lasu przed brogiem, w którym mogło być dwadzieścia fur siana, nakrytego i związanego gałęziami. Miałem wtedy tropowca namiętnego do dzików, był zacięty i chciwy, a zawsze pomrukiwał lub piszczał na tropie wiodącym do barłogu, kiedy już zwietrzył dzika. Otóż słyszę dobrze mi znane pomrukiwanie, widzę psa idącego na ten bróg, wreszcie naszczekującego na siano. Zdziwienie moje było niemałe, bo nie spostrzegłem żadnej dziury w brogu. Po chwili skoczył zniecierpliwiony tropowiec na siano, a w tejże chwili wyskoczył z niego odyniec i popędził na mego sąsiada, który go celnym strzałem powalił. Poszedłem obejrzeć kryjówkę dzika, wydrążenie było tam na dwa metry wysokości, a najmniej na cztery długości, sklepione u góry, wysłane i czyste na dole. Zadawałem sobie pytanie, jak też dzik ów otwór wygrzebuje, ryjem czy nogami, lecz nigdy tej zagadki rozwiązać nie umiałem, i pojąć nie mogę, co z wyrzuconem sianem się dzieje, któreby go zdradziło, a w lesie wiatr je przecie roznieść nie może. Zagadka ta o tyle ciekawsza, że usunięte siano sądząc po próżni, musi ważyć najmniej 40 funtów. (Czy też się po prostu siłą i ciężkością swoją nie wgniatają w środek siana? P. R.) — Warchlaki zakopują się w sianie, samura leży bez przykrycia. Nic pocieszniejszego, jak stado w kopicy z psami naszczekującymi przy otworze, duet głosu psów i rechtanie warchlaków trwa czasem kilka minut, bo dziki boją się wyskoczyć. Zdarzało mi się znachodzić stado w kopicach nie bardzo osiadłych, wtedy istotnie w pierwszej chwili trudno strzelić z powodu unoszącego się w powietrze siana, które gwałtownie wyruszając roztrzęsają na cztery wiatry. W r. 1859 polowaliśmy w Stryjskiem na dziki, stropione w kopicach na łąkach z kilku drzewami. Byłoto najzabawniejsze polowanie, jakie kiedykolwiek widziałem. Do pomyślnego rezultatu w takim razie niezbędnym jest świeży, miękki śnieg, zsiadły bowiem i twardy chrupie pod nogami, i często dzik się wymknie, nim strzelec dojdzie do kopicy. Strzał do wyskakującego dzika z siana na czystej łące pozornie zdaje się być łatwym, przeciwnie nader jest trudnym, gdyż wypada z niesłychaną szybkością poza kopicę, a przytem miota w koło siano w powietrze. Jednego nawet nie pamiętam zabitego w chwili wyskakiwania z kopicy, zawsześmy tylko postrzelili, następnie obcinali, gonili lub szczuli psami. Raz wypędzone ze stogów dziki już do nich nie wracają, zasmakowawszy w polowaniu tego rodzaju, bacznie obserwowałem kopice przez całą zimę, ale bezskutecznie.

Tropienie dzików jest osobną, zawiłą nauką, wymagającą pamięci, wytrwałości i ścisłej baczności w pochodzie, nadto niemałej wiedzy myśliwskiej. Do dokładnego tropienia konie-

cznem jest wiedzieć, gdzie dzik dniem przedtem leżał, można bowiem nawet na ponowie znaleść wchodny i wychodny trop, a jednak nie być pewnym, czy oblęgł na prawo lub na lewo. Tropiciel musi mieć na względzie porę roku, temperaturę, bo inaczej obchodzi dziki na miękkim, inaczej na zamarzłym śniegu, musi obok dokładnej znajomości lasu wiedzieć, którędy obcinać może, aby obtropić w jak najmniejszym ostępie, a nie ruszyć dzika. Podstawą jednak jest dokładna znajomość barłogów, szczególnie stad, które nie chętnie je zmieniają, należy więc na wiosnę i w porze zabronionego polowania poznać ulubione i wybrane miejsca, do których zawsze powracają. Nawet odyniec miewa kilka barłogów gotowych, i innych nie robi. Obserwowałem przez lat kilkanaście lasy kilku tysięcy morgów rozległości, zawsze w nich dziki w tych samych miotach zalęgały. Tropienie jest najtrudniejsze w czasie hukania, gdyż wtedy nietylko ciągle chodzą, ale wracają w tropy, tropiciel więc musi zawsze, a szczególnie w tej porze, zapisywać lub karbować tropy wchodowe i wychodowe, i dopiero skombinowawszy ilość ich i porównawszy je z sobą przekonać się, których jest o jeden więcej. Dokładna znajomość barłogów jest z tej jeszcze przyczyny niezbędną, że ona jedynie daje możność obtropienia bez ruszenia zwierza, a przedwczesne płoszenie dzików i niedokładne obtropianie najbardziej dokuczało nam w naszym zawodzie myśliwskim. Nie jeden leśniczy lub gajowy ugania z szczerem poświęceniem przez dzień cały bezskutecznie za tropami po wszystkich miotach, i zaledwo nad wieczorem wytropi dziki, gdy już niema czasu do polowania, gdyby znał, jeżeli się tak wyrazić mogę, dzicze mioty, toby nóg nie strudził i dziki na czas obtropił. W moich lasach w Brzeżańskiem, na 3000-morgowej przestrzeni było pięć miotów, w których oblęgały dziki, i znaliśmy wszystkie barłogi, wyjątkowo tylko czasem oblęgł odyniec w innym miocie, więc też ginęło każdej zimy po kilkanaście. Inaczej rzecz się ma z wędrującymi i migrującymi za żerem dzikami, te nie znając miejscowości, układają się tam, gdzie ich znużenie do odpoczynku zniewoli, wtedy i w obszernych lasach musi tropiciel tropicielowi oddawać trop do dalszego prześladowania. Na ten cel w pewnych wekslowych przesmykach stoi słup z dziurami, a leśny przyszedłszy do niego wkłada biały lub czarny kolek, pierwszy gdy dzik przeszedł, drugi gdy go wcale niema. Słup ten i tę przynosi korzyść, że leśniczy i właściciel lasu porachowawszy kołki jest pewnym, że wszyscy tropili na całej przestrzeni lasu. To, co tu powiedziałem, dotyczy miotów niezmienionego drzewostanu, rzecz naturalna gdy las wyrąbano, to dziki na czystem polu nie oblęgną. Polowałem w bardzo obszernych lasach przez lat jedenaście i przekonałem się, że dziki jedynie w kilkunastu miotach spoczywały, a w innych nie zalęgały nigdy. Gdy żer mają obfity, a w bliskości gąszcze i jary, wtedy obierają sobie świeże barłogi, lecz te łatwo wykryć można na pierwszych śniegach, a dziki przestaną w nich, jak długo żer wystarcza. Wędrówki dzików są zagadkowe, i nie zawsze zależą od pożywienia. Bywają lata, w których z gór zchodzą i idą kilka i kilkanaście mil płaszczyzną, w innych latach srogo biedują, a jednak górskich siedzib nie opuszczają. Przypominam sobie kilka lasów, gdzie było po kilkadziesiąt dzików dobrze przezimowanych, zdawało się, że się z nich setki potworzą, a jednak przeciwnie się stało, bardzo mało z nich pozostało. Bywają też miejscowości przypadkowo przez dziki nawidzane, w których dawniej nigdy nie bywały. Dziki mają niepospolitą pamięć i przezorność z niej wynikającą. Przypominam sobie stado złożone z 17 sztuk, mianowicie z dwóch odyńców, dwóch olbrzymich rozmiarów samur, i z 13 rosłych warchlaków. Towarzystwo to żyło z sobą w zgodzie, razem się trzymało, i nie małą mi w grochu czyniło szkodę, stoicznie ją wszakże znosiłem do pierwszej ponowy, na której zginęły matki, a byłby i odyniec padł, ale ocalił go brak odwagi u jednego z moich towarzyszów. Dziki te wyrosły i błąkały się przez trzy lata w sąsiednich lasach, nigdy już u mnie nie oblęgały, a gdy konieczność zmuszała ich przechodzić przez moje lasy, szły sznurkiem i nie zatrzymywały się wcale.

Ulubione i wybrane przez zwierzynę miejsca do spoczynku można rozpoznać i korzyści z tąd odnosić bez unużenia. Setki kotlin zajęcy znałem, do których z ciekawości jeździłem na koniu i chodziłem śledząc, czy są zajęte, zawsze upatrywałem w nich zająca, setki takich zajęcy wystrzelałem, i znowu były zajęte. Rewiry kuropatw cechują się tą samą właściwością, kto ich nie zna, będzie się bezskutecznie męczył, i najczęściej kuropatw nie znajdzie. Przekonałem się nieraz, że na przestrzeni pięciu do sześciu tysięcy morgów było ledwie 300 do 500 morgów zamieszkałych przez kuropatwy, i na tych je tylko należało szukać, łapać i strzelać, na innych zaś polach nigdy ich nie bywało. Twierdzenie to moje odnoszę jednak tylko do św. Michała, później bowiem zmieniają pole i szukają zasiewów ozimych. Nawet przepiórki mają swe rewiry lęgowe, i podczas gdy zabijałem i łapałem po 600 i 800 przez lato na mojem territorium, to na tysiącach morgów innych było ich nader mało. Również chruściele trzymają się stale wybranych miejsc, tu wszakże przeważa wzgląd wilgoci, wyschłe miejscowości opuszczają nie mogąc żyć bez wody. Dziś nawet mogę na pewne wskazać łąkę, gdzie niezawodnie siedzi chruściel, równie też drugą, na której od lat dwudziestu gnieździ się ich para pomimo, że je co roku wystrzelam. Te barłogi, kotliny, siedliska usprawiedliwić można tylko szukaniem wygody, bezpieczeństwa, żeru, jakoteż dogodnymi atmosferycznymi warunkami. Lisy jak inne zwierzęta mają również pociąg i przywiązanie do pewnych jam i rewirów. Niektórzy myśliwi twierdzą, że czyste i wygodne mieszkanie je ku sobie pociąga, kto jednak zbadał, jak szybko lisy wykopują sobie jamy, ten jest przekonany, że taka praca pewnie go nie odstraszy. Wszak widujemy lisy srogo biedujące w starych jamach wywodowych po wycięciu chróstu lub drzewa, a przecież ich nie opuszczają mimo odkrytego pola i niemożności wychodzenia za dnia a często i powracania do domu z pożywieniem dla lisiąt. Ciekawszem jeszcze jest, że wygryzione i wyszczute, wystrzelane i wytrute, wnet w tychże samych jamach bywają zastąpione przez inne lisy, co stwierdziłem w ciągu wielu lat.

Myśliwstwo jest wdzięczną nauką dla umysłów badawczych i wielce korzystne, gdy bywa umiejętnie prowadzone. Krocie zdarzeń niepodobnych do prawdy, epizodów wyjątkowych i wzruszających, krocie niespodzianek i rozkoszy wieńcem otaczają pamięć myśliwego, który myślą ożywia je w najsędziwszej nawet starości, a jak za młodu duszą i ciałem polował, tak w późnym wieku, gdy krew w żyłach stygnie i siły upadają, w żywych obrazach swych wspomnień myśliwskich żyje i działa, dokąd zasłona śmierci nie zakryje na wieki tych uczuć i wrażeń. Dziś jeszcze po latach wielu mógłbym żywo naszkicować obraz owych jarów, drzew, gąszczów, postaci zwierząt łownych psów i ludzi, które w ważniejszych polowaniach utkwiły mi na zawsze w pamięci. Ileżto miłych towarzyszów, ile znakomitych myśliwych, ile w końcu dzielnych psów zaległo stale w mej myśli. Nie mała liczba sprytnych i zawziętych ogarów, rozumnych wyżłów, śmiesznych postaci, przepysznych krajobrazów, wspomnień głodu i trudu nad siły, rozkoszy wypoczynku i posilenia, błądzeń po lasach, powrotów nocnych — to zaiste

nader zajmująca księga pełna obrazów, którą nieustannie rozpatrują, karty w niej przewracam, i żałuję, że już drugiego tomu tego myśliwskiego dzieła mieć nie będę. Lata biegną, ale namiętność myśliwska, najwyższa ze wszystkich, nie ostyga, zawsze pędzi w pola, na bagna, do lasu, zawsze ubarwia mi życie wspomnieniami nie mniej przyjemnemi, jak dawniej. Często drzewo, grupa pni, jary i debry, kępiny lub zarośla, smugi, trzciny, tajemnicze głosy borów, wzruszający szelest zbliżającego się zwierza, wabienie ptaka, pracowite kucie dzięcioła, hukanie sów, beczenie rogaczy, budzi w mej duszy wspomnienia dawnych zdarzeń myśliwskich, wysnuwa powabne obrazki, bawi, wzrusza, wywołuje tęsknotę za przeszłością wobec tak odmiennej teraźniejszości. W takiem marzeniu pogrążony stałbym godziny i dnie całe na miejscu, byle się tylko nie rozwiały owe sny złote, przywodzące szeregiem zdarzenia i postacie z życia mego myśliwskiego. Dla mnie każde polowanie ma urok i powab, każde jest balsamem dla smutnej myśli, odtrąceniem nasuwających się chmur, zrzuceniem trosk, wzmocnieniem ducha i ciała. Gdyby jakimś fatalnem zrządzeniem zabrakło zwierzyny, polowałbym w ostateczności na pośmieciuchy, lubo szczerze kocham te patryarchalne ptaki. Wszak polowanie na grubego zwierza z psami, to zaprawdę rozkosz iście rycerska, to walka, która upaja, rozbudza wzruszenia nie do porównania, z innemi, a owa różnorodność, nieskończoność niespodzianek radosnych, smutnych i żałobnych, te zawody i powodzenia, zwątpienia, posądzania, niepewności, gorączkowe oczekiwania, tryumfy i upokorzenia, te guzy, sińce i rany, spotkanie z towarzyszem po długiem błądzeniu, powrót radośny do ludzi i rodziny, do pracy i odpoczynku — to wszystko jest prawdziwą wonią, rozkoszą i ozdobą życia. Więcej powiem, dla krewkości młodzieńczej myśliwstwo jest najodpowiedniejszą aperturą, ono od wyuzdanych porywów powstrzymuje, gorące zapędy koncentruje w jeden punkt, daje możność wyszumienia się szałowi młodzieńczemu bez uszczerbku sił i fortuny, nie jednego młodzieńca odwodzi od demoralizujących stosunków i towarzystw, rozbudza uczucia moralne a nawet estetyczne zamiłowanie do badania przyrody, wyrabia odwagę, zimną krew, uczy ostrożności, hartuje ciało, wyplenia z duszy chorobliwe fantasmagorye, i przygotowuje młodzieńca do przyszłych walk w życiu. Oby Hubert i Diana wzięli w opiekę dorastającą naszą młodzież bo w takim tylko razie wychowa się ona na ludzi silnych i ochoczych do produkcyjnej pracy i do twardej walki tak z własnemi ułomnościami jakoteż z chorobami dzisiejszej dziejowej chwili!

Olejów 19. Marca 1880.

KORESPONDENCYE.

Polowanie na niedźwiedzie. W Kwietniu b. r. powołały mnie sprawy mego zawodu do Nadwórny. Posiadłość leśna, należąca do powsz. austrack. zakładu kredytowego ziemskiego, rozlega się od równiny u stóp Karpat aż do granicy węgierskiej, i obejmuje przestrzeni 150.000 morgów.

Mimo takiego olbrzymiego obszaru, łowiectwo wcale tu nie świetne, a jednak polowania tamtejsze, lubo najczęściej są bezskuteczne, mają dla prawdziwego myśliwego dziwnie pociągający urok, w każdej bowiem chwili jest możliwość spotkania się na strzał z zwierzyną rzadką, jak niedźwiedź lub ryś, a szczególnie przebywają zawsze w tamtejszych rewirach niedźwiedzie, zimując w wysokich górach, gdy przeciwnie ryś tylko nader rzadko się zjawia, ale zawsze bytność swoją znaczy niesłychanem spustoszeniem między sarnami. Tej zimy i wiosny włóczył się stary ryś po rewirach państwa Nadwórniańskiego, a dążąc ku tokowisku głuszców w Tartarowie przybyliśmy na miejsce śniegiem przyprószone, gdzie ryś na przestrzeni niewielu sążni rozdarł przed kilku dniami trzy sarny, ze śladów jednakże nie można było na pewne wnosić, czy sam je pożarł, lub też z pomocą lisów.

Jedyna zwierzyna w wysokich górach stosunkowo liczna, są głuszce, ale polowanie na nie należy do nader mozolnych, bo zwykle przystęp do nich jest bardzo stromy, a noclegi odbywać trzeba pod gołem niebem, pod ochroną koliby, w której nieraz zawieja śnieżna lub deszcz srodze dokuczą.

W czasie bytności mej w górach spróbowałem szczęścia w pobliskim, na równinie położonym rewirze na tokujące cietrzewie, a chociaż przed wschodem słońca już byłem na tokowisku, i nie jeden kogut grał, to jednak nie mogłem strzelić, ponieważ nie urządzono przedtem budek, a podsłuchy były bezskuteczne.

Polowanie też na głuszce w Tartarowie nie przyniosło pożądanych rezultatów, albowiem w dolinie Prutu leżało jeszcze wiele śniegu na górach, a toki jeszcze się nie rozpoczęły. Udało mi się wprawdzie po spędzonej nocy w otwartej kolibie śród niewymownych trudów zasadzić na drzewie nietokującego jeszcze głuszca, ale z pierwszym brzaskiem dnia chybiłem go z obu luf nabitych kulami, nie spędziwszy z miejsca, postrzeliłem go potem śrótem, poczem wzniósł się pionowo w górę i spuścił z rozwartemi skrzydłami w dolinie. Miękki śnieg nie dozwolił skutecznego poszukiwania go.

Po ukończeniu moich czynności miałem już do Lwowa powracać, gdy zstępujący z wyżyn górskich nadleśniczy Czerny przyniósł wiadomość, że w dolinie Bystrzycy, 4 do 5 mil od Nadwórny, otropiono niedźwiedzicę z dwoma rocznymi piastunami, i wezwał mnie do wzięcia udziału w urządzonem na nią polowaniu. Jakkolwiek doświadczenie stwierdza, że zwykle tego rodzaju polowania bywają bezskuteczne, to jednak postanowiłem odjazd mój do trzech dni jeszcze odroczyć, i korzystać ze sposobności spotkania się z niedźwiedzicą. Mój zapał myśliwski wywołał wesołość śród rzeszy łowców Nadwórniańskich, i ze wszystkich stron rokowano bezskuteczność naszych usiłowań. Nie zraziłem się tem jednak, i ruszyłem wzdłuż doliny Bystrzycy aż ku Hołodyszczu. Leśniczówka leży tam w dziko romantycznej okolicy, w miejscu przed kilku laty wytrzebionem, gdzie dolina Bystrzycy wyginając się w prawo nieco się rozszerza, a oddalono jest od najbliższych mieszkań najmniej o jeden kilometer. Jadąc, nienajlepszych doświadczaliśmy prognostyków, na jednym z mostków zapadł jeden z naszych koni tylnemi nogami tak głęboko, żeśmy go zaledwo z wielkim trudem, podłożywszy sznury pod brzuch, wydobyli, następnie zetknęliśmy się z księdzem ruskim, które spotkanie uważają tutejsi przesądni myśliwi za równie źle wróżące, jak spotkanie z starą, szkaradną babą.

W Hołodyszczu zastaliśmy leśniczego Martinetza, wybierającego się właśnie na kilka dni na werchy, więc opóźnienie się nasze byłoby polowanie uczyniło niemożliwem. Pan leśniczy potwierdził, iż rzeczywiście przed kilku dniami przemknęła niedźwiedzica z dwoma piastunami z gór granicznych Węgier, gdzie zimowała, ku górze Leurda, że owa niedźwiedzica w przeszłym roku przez dłuższy czas w tej dolinie przebywała, czyniąc niemałą szkodę w owcach, ale dodał zarazem, że przy

tak wielkiej rozległości rewiru mogły niedźwiedzie pójść dalej, i że, gdyby nawet pozostały w miocie, nie małem byłoby szczęściem, gdyby na którego z myśliwych wyszły. Ponieważ leśniczy Martinetz objął rewir zaledwo przed kilku miesiącami, przeto wezwano do rady dawniejszego kłusownika, który nas zapewnił, że jedynie miot położony w dolinie Leurdy daje niejaką nadzieję pomyślnego skutku polowania, a gdym mu przyrzekł 5 złr. nagrody za wskazanie mi stanowiska, na którembym mógł strzelać do niedźwiedzia ukazał mi miejsce, które miało być niezawodnym przesmykiem niedźwiedzim.

Nazajutrz 21go Kwietnia 1880 r. ruszyliśmy we czterech t. j. ja, leśniczy Martinetz, leśniczy Kurzweil z Zelonej i adjunkt lasowy, doliną Bystrzycy nazad ku Nadwórnie, przekroczyliśmy wezbraną rzekę po wąskiej, z pnia utworzonej kładce, i poczęliśmy o 9 godzinie wspinać się ku górze. Podczas gdy mozolnie prawie w prostym kierunku po stromej ścieżce weszliśmy na górę Leurdę, zwykły bowiem dostęp na nią przez jary w tej chwili jeszcze śniegiem zasypany, był niemożliwy; szło 7 naganiaczów z trzema małymi psami owczarskimi pod przewodnictwem gajowego ku górze Berezewaczka z otrzymanem poleceniem rozpoczęcia gonu o godzinie 12ej i przepędzenia całego miotu wzdłuż doliny Leurdy, aż ku górze tegoż imienia. Po półtrzeciej niespełna godziny dotarliśmy do grzbietu góry, musieliśmy jednak jeszcze w kształcie łuku dążyć do naszych stanowisk. Szedłem zwolna przodem, dosyć bowiem mieliśmy jeszcze czasu, gdy nagle odezwał się w pobliżu głos trąbki, adjunkt lasowy pozostał i zbłąkał się, a chcąc dać nam znać o sobie, dął na otwartej lufie Lefaucheux jakby na trąbce. Ten sposób trąbienia jest niezawodnie bardzo prosty, praktyczny, i wielkiej wartości z tego powodu dla myśliwego w wielu wypadkach. W obecnej wszakże chwili przeklinałem to trąbienie z całego serca, pewnie bowiem naganiacze słyszeli ów sygnał, i przekonani, żeśmy już zajęli stanowiska, poczną gonić. Jeszcze przynajmniej kwadransu czasu potrzebowaliśmy, aby się dostać do stanowisk, więc spieszyliśmy co sił stało, ale droga była tak mozolną, żeśmy tylko zwolna naprzód postępowali. Właściwa droga snuła się po stronie północnej grzbietu góry, i była miejscami grubo śniegiem pokryta. więc nie tylko zapadaliśmy co krok aż do kolan, ale nadto trzeba było ciągle nogą śledzić stałego gruntu, w przeciwnym bowiem razie możnaby było zapaść zbyt głęboko. Dla tej przyczyny usiłowaliśmy szybciej kroczyć po stronie południowej, ale i ta próba nie powiodła się, bo po tej stronie był szczyt pokryty kamieniem, po którym jeszcze ostrożniej stąpać należało. Tchu pozbawieni przybyliśmy wreszcie na najwyższy szczyt góry Leurdy (3606 stóp), i tu na pierwszem stanowisku mnie postawiono.

Wspaniałe była panorama, jakie się przed okiem mojem otworzyło, śniegiem pokryte szczyty ukazały się całem pasmem aż ku Węgrom, w głębi doliny szumiała i wrzała Bystrzyca, w której od stopniałego śniegu i wód napływowych wzburzone fale uderzały o brzegi, i dalej pędząc dążyły pod koła tartaku parowego; przedemną stoki podgórskie z otwartym widokiem na Nadwórnę, a w mglistej dali na dolinę Dniestru. Ani chmurka nie przebiegała po stropie niebieskim, powietrze było przeczyste, a słońce grzało jakby śród lata.

Oznaczono mi stanowisko, jak już nadmieniłem na ostatecznym krańcu miotu. Po prawej stronie rozścielała się polana, ale tak stroma, iż zaledwo na 20 kroków miałem na niej widok otwarty, przedemną wznosił się stary las sosnowy i jodłowy piramidalnie aż do szczytu, a tylko najwyższy czub jego stanowił halawę 20 do 30 kroków przestrzeni, na której gdzieniegdzie rosły pojedyncze drzewa. Las odgraniczony był od połoniny płotem łaciastym wysokości około jednego metra i dalej na lewo spadała wyżyna Leurda, a w wyżłobieniu łączącem ją z resztą gór zajęli inni myśliwi stanowiska. Przedwczesne trąbienie odjęło mi wszelką nadzieję pomyślnego skutku polowania, chciałem przeto nasycić się przynajmniej przepysznym widokiem, a ponieważ stanowisko moje na krańcu było za jasne w razie pojawienia się zwierza, posunąłem się około 5 kroków wzdłuż płota, oparłem o niego moją Lankastrówkę nabitą kulami, usiadłem wygodnie na myśliwskim stołku, położyłem sztuciec na kolanach i rozpatrywałem z rozkoszą przez szkła okolicę. Z zdziwieniem nie słyszałem głosu nagonki, i zaledwo po kwadransie spełna dał gajowy, który na szczęście poprzedniego trąbienia nie słyszał, sygnał, poczem poczęto gonić najdokładniej w umówionym czasie. Skierowałem naturalnie uwagę moją wyłącznie ku łowom. Gon trwał już prawie pół godziny, już dawał się słyszeć głos nagonki zstępującej ku nam z wyżyny, gdy naraz poczęły psy owczarskie naszczekiwać, następnie całym głosem nieustannie ujadać. Nie można to równać z gonem ogarów, zadaniem bowiem psów owczarskich jest jedynie szczekaniem zwierza z miejsca wyruszyć i przepędzić kilkaset kroków. Gon szedł górą ku mojemu stanowisku, a ponieważ psy owczarskie nigdy sarn nie gonią, oczekiwałem przeto z zapartym oddechem w każdej chwili pojawienia się niedźwiedzia lub też rysia. Po krótkiej jednak przerwie poszedł gon doliną, a ja zawiedziony spuściłem sztuciec, nie spodziewając się powrotu zwierza, który widocznie w tył pomknął i dążył ku węgierskiej granicy.

Nagle dał się słyszeć od strony mego sąsiada leśniczego Martinetza, stojącego o 200 do 300 kroków odemnie, donośny głos „pilnuj", a w kilka sekund spostrzegłem starą niedźwiedzicę w towarzystwie jednego piastuna w szalonym pędzie dążącą grzbietem góry ku mnie. Lubo na podstawie długoletniego doświadczenia nader niechętnie strzelam na sztych, to jednak w tym razie wyjątek od reguły był usprawiedliwiony, albowiem tylko wtedy miałem nadzieję strzelić do piastuna, gdyby mi się udało pierwszym strzałem matkę powalić. Złożyłem się, i gdy niedźwiedzica na mniej więcej 20 kroków odemnie na wyżej wspomnianą polanę wyskoczyła, strzeliłem mierząc w pierś. Niedźwiedzica ryknęła, ale nie zachwiawszy się nawet, ani też nie farbując popędziła w szalonych susach przez całą polanę odwróciwszy się nieco odemnie, a gdy już była na jej krańcu, posłałem jej drugą kulę, poczem ryknęła raz jeszcze i znikła poza grzbietem góry. Tymczasem dosięgnął piastun połowy polany, z największym przeto pospiechem musiałem zmienić broń, aby doń strzelić. Po pierwszym strzale farbował, a drugą kulę posłałem mu już w gąszczu. Zaledwo włożyłem w lufy świeże naboje, odezwało się naszczekiwanie psów owczarskich w miejscu, a po niespełna dziesięciu minutach padł strzał, i ozwał się głos: „Leży!" Według mego mniemania był to drugi piastun, który przed psami schronił się na drzewo, tem większe było moje zdziwienie, gdy adjunkt lasowy wyniósł z miotu głuszcza, którego psy wypłoszyły i na drzewie oszczekiwały. Głuszec tylko psami był zajęty, mógł więc myśliwy zbliżyć się do niego i z łatwością zabić. Czytałem o podobnym sposobie polowania na głuszce w Szwecyi i Norwegii, ale dotąd nie bardzo temu wierzyłem.

Drugi piastun prześladowany jakiś czas przez psy, przemknął w tył. Na tropie niedźwiedzicy znaleźliśmy wiele juchy, a w oddaleniu może stu kroków leżała już nieżywa. Pokazało się, że pierwsza kula uderzyła w pierś i przeszła wzdłuż prawej strony żeber, a ugrzęzła zupełnie spłaszczona pod skórą;

druga kula przeszła pod komorą. Obie kule były wydrążone bez masy explodującej. Niedźwiedzica miała 6 do 7 lat, była ogromnie wychudzoną i ważyła ledwie 58 kilogramów, długość jej od nosa aż do ogona wynosiła 170, a wysokość 80 centimetrów.

Poszukiwanie strzelanego piastuna musieliśmy niestety poruczyć naganiaczom przypuszczając, że psy owczarskie najłatwiej po tropie znajdą może postrzelonego niedźwiedzia, i oszczekają go. Usłyszeliśmy w istocie naszczekiwanie psów, ale wracający gońce donieśli nam, że psy oszczekiwali wypłoszonego głuszca, a poszukiwanie piastuna było bezskuteczne. Poczem zeszliśmy z góry i dotarli o 4ej godzinie do leśniczówki. Cała gmina się zbiegła w celu oglądania niezwykłej zdobyczy łowieckiej, a włościanie całowali mi ręce i nogi, i obdarzali modłami i błogosławieństwem za usługę, jaką im wyrządziłem ubiciem starej zbrodniarki, która im wiele bardzo szkody od dawna czyniła. Przy obieleniu okazało się, że niedźwiedzica prócz kilku nic nie znaczących ziarn śrótu miała też stary, zabliźniony postrzał w miąższu. To zapewne było powodem, że w tym roku nie miała młodych.

Niezwykłej powściągliwości dał dowód leśniczy Martinetz nie strzelając do niedźwiedzicy, gdy na 15 do 20 kroków nań wyszła. Zawołał „pilnuj“ wiedząc, iż niedźwiedzica w tej miejscowości musi pomykać przesmykiem przezemnie zajętym, jak też istotnie się stało.

Nazajutrz powróciłem po 48. godzinnej niebytności do Nadwórny. Jakkolwiek mogłem być rad z zdobyczy, to jednak robiłem sobie w duchu wyrzuty, iż nie dosyć chłodno i umiejętnie korzystałem z rzadkiej zaiste sposobności zrobienia *coup-double* na niedźwiedzie. Usprawiedliwiałem najzupełniej mój drugi strzał do niedźwiedzicy, kiedy po pierwszym nie padła, ale z drugiej strzelby mogłem był lepiej wytrzymać, lubo szybka przemiana broni obok szalonych susów piastuna mogły chybiony strzał jeżeli nie usprawiedliwić, to przynajmniej wyjaśnić. Tem większą przyjemność sprawiła mi po mym powrocie do Lwowa wieść, że i drugiego niedźwiedzia później odszukano. Z zasady nie bardzo wierzę przysądzaniu komuś odszukanej zwierzyny, wiem bowiem z własnego doświadczenia, iż służba lasowa mylnie pojmując swoją gorliwość służbową, przyznaje zwykle gościom uprzywilejowanym zwierzynę, która im się wcale nie należy. W tym też wypadku nie rychlej doniesieniu uwierzyłem, aż ono gruntownem zbadaniem rzeczy zostało stwierdzone. Wkrótce po moim odjeździe spadł śnieg w górach a na ponowie można było spostrzedz liczne tropy lisie, zchodzące ku dolinie, dokąd umknął piastun, wreszcie i psy owczarskie wracały objedzone do domu. Na tem opierając się, czynił sam leśniczy Martinetz poszukiwania, i znalazł szkielet owego niedźwiedzia w oddaleniu około 2000 kroków od strzału, w jarze, a tylna łapa była zupełnie od kuli zgruchotaną. Zdaje się więc, że i drugą kulą, którą w gąszcz posłałem, niedźwiedzia trafiłem, ale nie śmiertelnie, więc powlókł się jeszcze dosyć daleko.

Czy nagónka zaraz go znalazła, ale o tem przemilczała, jest rzeczą niepewną, jakkolwiek za tem nie jedno przemawia, a mianowicie brak czaszki.

Pomyślne widoki są dla myśliwych na polowania jesienne, albowiem według doniesień lesniczych; wiele widziano niedźwiedzi *Dr. Ferd. Kratter.*

Dolina, 6 Czerwca.

Przedwczoraj Iwan Berehowy c. k. dozorca lasów w Iłemii (pow. Łopianecki) postrzelił grubego niedźwiedzia, i do obecnej chwili pomimo silnej farby jeszcze go nie doszedł. Jaka to szkoda, że w ten sposób ginie w górach naszych stosunkowo dość znaczna liczba niedźwiedzi. Byłoby rzeczą pożądaną, aby c. k. Dyrekcya lasów i domen w Bolechowie, wzorowo zresztą opiekująca się myśliwstwem, zakazała swej straży w rewirach nie tylko w swoim obrębie będących ale i w wydzierżawionych kaleczenia i systematycznego tępienia tego zwierza w tak nie właściwym czasie. Czyż nie dosyć, że pastuchy przez całe lato na każdej połoninie a nawet polance w kolibach swoich mają po kilka sztuk broni, z której tak często Watasza z juhasami obsypie gradem siekańców włażącego do zagrody owczej lub osaczonego psami niedźwiedzia, mamyż im dopomagać? Nie jestem za ochroną niedźwiedzi, sądzę jednak, że myśliwi, a szczególniej straż lasowa powinni go strzelać, wtenczas tylko, kiedy jest z niego pożytek. Pastuchom wolno używać broni, a w głębokich kniejach i ostojach jelenich licznej zgrai psów, które towarzysząc zawsze owcom prześladują jelenie, i robią w nich wielką szkodę. Raz poszlakowane cielę jelenie staje się zwykle ich pastwą, a często służy za pieczyste juhasom. Wiem z opowiadania juhasów, że bywają dnie, w których z paszcz psów odbierano po dwoje naraz cieląt jelenich. Nie wspominam już o innej zwierzynie, łatwej ofiarze tych arcyszkodników. Psy owczarskie są niezawodnie największymi wrogami naszego górskiego myśliwstwa.

Czyż właściciele takich posiadłości, a mianowicie kamera dzierżąca parękroć sto tysięcy morgów dziewiczych prawie lasów, nie powinna zapobiegać temu złemu, i chronić ostoje i matnie jelenie przez ograniczanie terenu wypasowego w miejscowościach wspomnianych, oraz przez wydanie rozkazów straży, aby wystrzeliwała psy swobodnie po lasach uganiające w porze, w której zwierz potrzebuje największego spokoju i opieki. Psy te forsują młode jelenie i sarny, wyjadają gniazda i duszą młode głuszce.

Nie można prawie wyobrazić sobie lepszych warunków bytu dla jelenia, jak przedstawiające się w lasach Jasieńca, Perchińska, Suchodołu, Iłemi, Wełdzirza i Mizunia. Sama już kondycya, rogi i rozmiary mieszkającego tu jelenia świadczą wymownie, że mu niczego nie brakuje, jeleń bowiem górski waży 650 do 700 funt. cłowych, a rogi dwudziestaka, których jest stosunkowo dużo, lub rogi wstecznika, ważą 22 do 26 a nawet 32 funt. cłowych bez czaszki.

Wilków w górach prawie nie ma, rysiów bardzo mało, ochrońmy choć główniejsze ostoje letnie od psów owczarskich i pasterzy, załóżmy lizawki, i otoczmy je jaką strażą i opieką, a za lat parę znajdziemy w wspomnianych rewirach setki wspaniałych jeleniów, a nawet sarn, jarząbków i głuszców nie mało. Wobec psów owczarskich niczem są wilki, rysie, ciężkie zimy, a nawet kłusownicy.

U hrabiego Schoenborna na Węgrzech, w dobrach graniczących z Stryjskiemi górami, pozostawiono parę połonin tylko dla jeleni. Urządzono lizawki, a przy nich oczywiście należyty dozór, i tym sposobem podniesiono znacznie stan jeleni tak, że w roku ubiegłym zabito w porze rykowiska 28 grubych jeleni, a otrzymana za skóry tylko kwota równa się dochodowi, jaki odbierano dawniej z najmu tych połonin na paszę.

W Jasieniu (dobra kameralne), gdzie od kilku lat ograniczono pasze i pozakładano lizawki, dosyć jest być w rewirze dwie godzin, aby widzieć kilkanaście sztuk jeleni, a we Wrześniu na parę kilometrów od Podlutego można już słyszeć naraz 10 do 15 jeleni ryczących. *M. Brzostowski.*

Dżwiniacz, 19 Czerwca.

W celu bliższego zapoznania się z knieją i myśliwstwem w większych mało mi dotąd znanych prywatnych posiadłościach górskich w Stryjskiem i Bohorodczańskiem, spędziłem kilka ostatnich tygodni w państwie Skolskiem, w państwie hr. Schoenborna na Węgrzech, i w państwie Sołotwińskiem. Niezaprzeczenie są to piękne i obfite w warunki dla grubego zwierza knieje. Pierwsza i ostatnia znacznie mniej bogata w jelenie, lecz za to mają one niemałą liczbę niedźwiedzi U hr. Schoenborna góra Schoenborn i Pikula jest ostoją pewnie 60 jeleni, tu też gawruje każdej zimy 10 do 12 niedźwiedzi. W ubiegłym roku myśliwskim padło ich 10, z których dwa ubił Następca tronu.

W Sołotwińskiem ubito w zeszłym roku trzy stare niedźwiedzie i dwa piastuny, a 11 t. m. w czasie mojej tamże bytności, Antoś Paraniuk gajowy z Rosólnej (rewir Sołotwiński) przechodząc częścią lasu „Łukwa", usłyszał pod rosochatą jodłą drapanie się i łomot gałęzi, a zwróciwszy wzrok do góry, dopatrzył na jodle w połowie wysokości niedźwiedzia. Po pierwszym strzale lotkami niedźwiedź wstrząsł się mocno, po drugim zaś śrótem nie ruszył się wcale. Paraniuk nie mając już naboju, i wcale nie przypuszczając, że niedźwiedź już jest martwym, zbiegł do wsi, i wezwał kilku chłopów, którzy przybywszy na miejsce, zrzucili zastygłego już niedźwiedzia z gałęzi. Był to niedźwiedź w drugim roku, dosyć rosły, czarny, bez obrączki, z doskonałem jak na tę porę opuszeniem, w złej oczywiście jeszcze kondycyi. Mógł ważyć 120 do 130 funt. Czaszkę otrzymałem do mego zbiorku trofeów myśliwskich.

Wszystkie nasze niedźwiedzie do dwóch lat swego wieku, to jest piastuny i mamzery, nie tylko przed psami, co już kilka razy widziałem, lecz często bardzo dla igraszki tylko włażą na drzewa. Grubego niedźwiedzia na drzewie nie widziałem i nie śledziłem, chętnie przechodzi on przez kładki nad potokiem, lub też po wiatrołomach, ale na drzewa drapie się tylko bardzo głodny po mięso zawieszone tam, co w górach często przy zasiadkach się urządza z resztek wołu lub innego bydlęcia przez niedźwiedzia ubitego.

W przyszłym miesiącu przyślę dla „Łowca" ile możności dokladne zestawienie zwierzostanu w znanych mi rewirach górskich.

M. Brzostowski.

KRONIKA.

Waplowo, 6 Lipca.

Do korespondencyi z Krasiczyna w Nr. 7. „Łowca" o smutnym rezultacie polowania na pojedyńczego dzika, pozwalam sobie opierając się na doświadczeniach własnych i litewskich wytrawnych myśliwych, zrobić uwagę co do użycia psów w łowach na pojedyńczego dzika. Zwykle pojedyńczy dzik da się osaczyć w stosukowo małym kawałku lasu. Tak obsaczonego upolować nie trudno bez straty psów. Dzik pojedyńczy ma legowiska w gąszczu lub oczeretach, atakowany przez złaję psów, broni się najczęściej zawzięcie w miejscu w gąszczu, lub też zabezpieczając tył o grube drzewo, a obrona ta głównie polega na szybkich zwrotach głowy. Psy usiłując odskakiwaniem uniknąć cięcia, znajdują przeszkodę w gąszczu, bywają więc cięte srodze. Doświadczeni myśliwi zapobiegają takiemu rezultatowi tym sposobem, że wysyłają w miot dobrego dojeżdżacza z jednym dobrym psem lub najwięcej dwoma. Gdy dzik lekceważy psa i w miejscu oszczekiwany, rzeczą jest dojeżdżacza zmusić dzika harapem i głosem do wyruszenia. Z dobrym dojeżdżaczem i jednym psem rzadko dzik ujdzie wytrawnym myśliwym, a tryumf bywa tem większy, że bez poświęcenia życia psów. Oparty na wieloletniem doświadczeniu radzę oszczędzać psy i polować w sposób wyżej opisany na pojedyńczego dzika a rezultat stwierdzi prawdziwość mego twierdzenia.

Adam Lew Sołtan.

Zarzecze, 10 Czerwca.

Jako ilustracye do szkodliwości lisa donoszę, że znalazłem dziś w Zarzeckim lesie koło jamy, do której zaledwo przed ośmiu dniami sprowadziła się liszka z familią, dwie młode sarneczki, dwa stare zające, ilość zaś młodych zajęcy nie dała się obliczyć, bo z nich ledwie trochę turzycy pozostało, dalej jednego kota, kreta i t. d., z wszystkiego oczywiście tylko szczątki. Cóż dziwnego, że na 15 do 18 sarn w tym lesie, chodzą już tylko dwie z młodemi.

Z.

Lwów, w Czerwcu.

Upraszam sz. Redakcyę o umieszczenie mej odpowiedzi na korespondencyę Wgo T. Żurowskiego (Nr. 6 „Łowca"). Wny Żurowski dał mi strzelbę systemu Lankastra do przerobienia na system Teschnera z kurkami, oraz dał mi wskazówki przerobienia, czego się też ściśle trzymałem. Zamki zwykłe przerobiłem na odskakujące i wszystko zmieniłem, co zmiany wymagało. Twierdzenie, że w strzelbie były dziury haniebnie poniutowane, nie mogę nazwać prawdziwem, ponieważ w całym ciągu roboty był p. Żurowski we Lwowie, i żadna śrubka nie była zakręcona bez jego woli. Po wykończeniu strzelby próbowaliśmy ją w obecności towarzysza p. Żurowskiego, który z próby był zadowolony i wypłacił mi należytość, nie jest przeto prawdą, iż odesłałem Wmu Żurowskiemu strzelbę za pobraniem pocztowem. Po wyjeździe p. Żurowskiego ze Lwowa otrzymałem od niego list uwiadamiający, że pragnie ową strzelbę na miejscu sprzedać, co jeżeli nie nastąpi, zamieni ją we Lwowie na Teschnerówkę, którą mi w handlach lwowskich upatrywać polecił. Gdy się to nie stało, zaproponował mi Wny Żurowski zrobienie mu w zamian innej strzelby. Przyjąłem wtedy propozycyę, bo właśnie miałem kupca na jego strzelbę, ponieważ jej jednak nie sprzedałem, prosiłem listownie p. Żurowskiego, by mnie uwolnił od obowiązku dotrzymania tej umowy i odebrał strzelbę swoją, na co otrzymałem odpowiedź, że tej strzelby nie przyjmie, i żąda albo innej strzelby lub 130 złr., w przeciwnym razie będzie poszukiwał szkody swojej na drodze sądowej. Odpowiedziałem na tę groźbę, że szkoda kosztów procesu, bo znajdujące się u mnie strzelby są cudzą własnością, nikt ich przeto zająć nie może. Mimo tego jednak wniósł p. Żurowski pozew i żądał 130 złr., chociaż przedtem chciał strzelbę sprzedać za 80 złr., więc widocznem jest z tego, że chciał ją dobrze sprzedać. Strzelba p. Zurowskiego jest u mnie do jego dyspozycyi i w każdej chwili może ją odebrać, gdy od pretensyi pieniężnej odstąpi. Jak zaś jest przerobiona, o tem oglądnąwszy ją każdej chwili przekonać się można. Była ona 200a z rzędu, nie ma więc obawy, aby była złą.

Kazimierz Tabaczkowski.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.